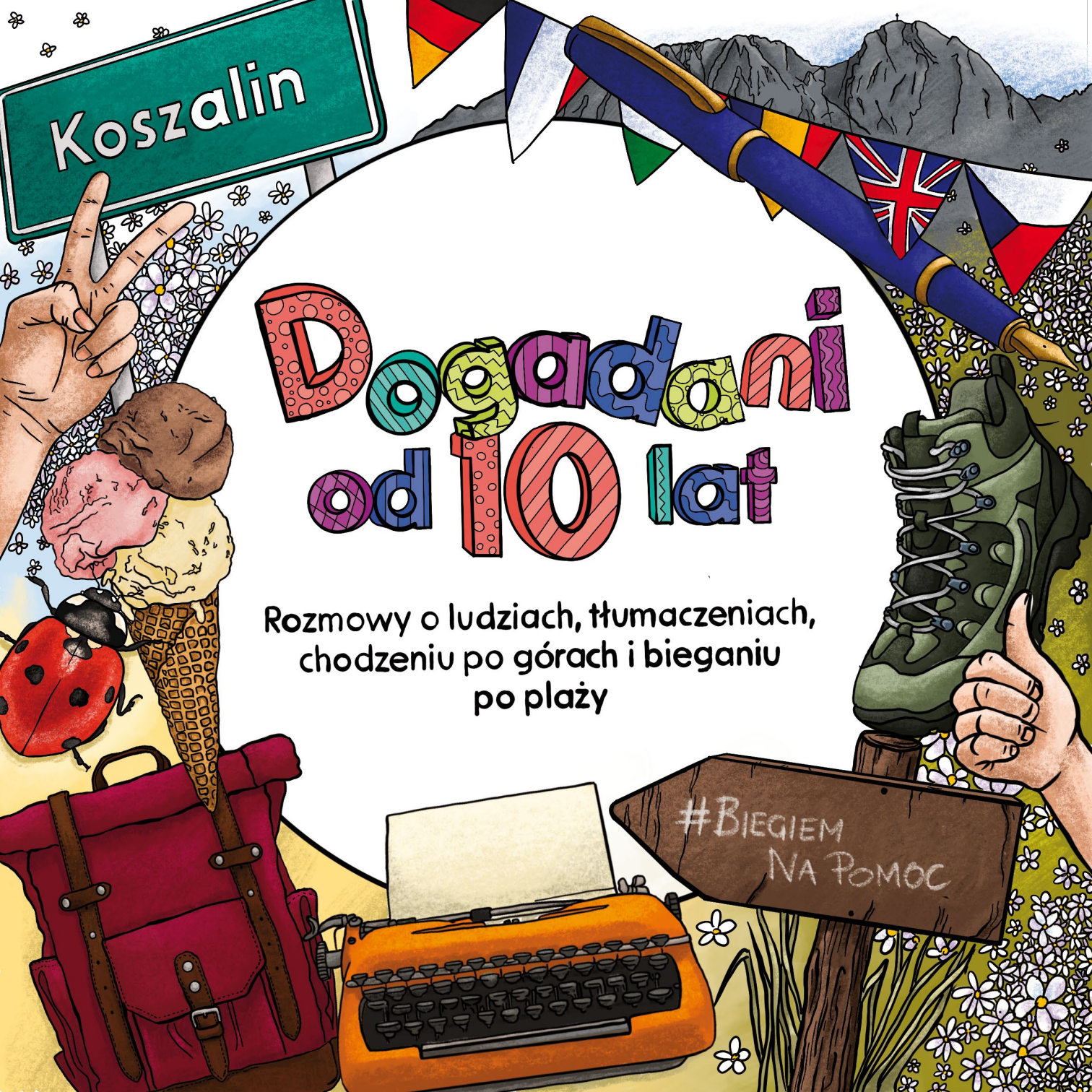
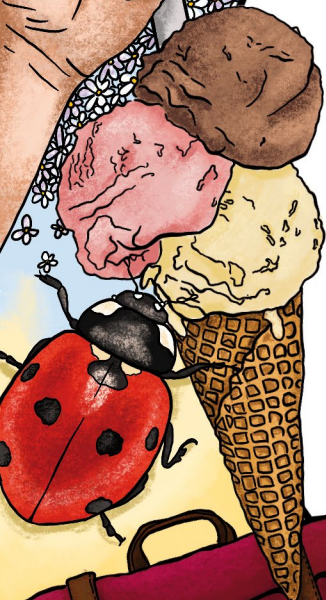




Dogadani od 10 lat

Rozmowy o ludziach, tłumaczeniach,
chodzeniu po górach i bieganiu
po plaży



Doświadczeni od 10 lat

Rozmowy o ludziach, tłumaczeniach,
chodzeniu po górach i bieganiu
po plaży



dogadamycie

Dogadani od 10 lat

Rozmowy o ludziach, tłumaczeniach,
chodzeniu po górach i bieganiu
po plaży

Koszalin 2022

Dogadani od 10 lat. Rozmowy o ludziach, tłumaczeniach, chodzeniu po górach i bieganiu po plaży

Wybór materiałów, przygotowanie tekstów, redakcja

Piotr Biniek, Agnieszka Chmielewska, Anna Gargula, Adam Konracki, Agnieszka Le Roch-Murat, Wioletta Mamrot, Robert Siemiński, Krystian Stypuła

Projekt okładki, ilustracje

Anna Sukiennicka

Komiks

Sylwia Pietrucha

Fotoreportaż

Michał Niedzielski

Skład komputerowy

Michał Kłós

Copyright © dogadamycie.pl, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-965046-6-1

Wydawca

dogadamycie.pl sp. z o.o.
ul. Andersa 22
75-017 Koszalin, Polska

Kontakt

tel.: +48 22 460 29 90
e-mail: info@dogadamycie.pl
strona internetowa: dogadamycie.pl

Wydanie pierwsze, październik 2022



Rozdział 1

Nasza firma to nie sprint, to maraton

Rozmowa o bieganiu, biznesie i przyjaźni



Pierwszy kilometr

Agnieszka: Ja wiem, że każda droga musi mieć swój początek, każdy maraton pierwszy kilometr, a każda firma pierwszego klienta. A my przecież szczególnie ciężko pracowaliśmy na starcie i nadal walczymy o utrzymanie się na wymagającym rynku usług tłumaczeniowych. Tylko czy na pewno musimy rozmawiać o dogadamy.pl podczas biegu? Nie jestem pewna, czy uda mi się zebrać myśli, przypomnieć wszystkie fakty, podsumować wyniki. No i najważniejsze, czy się nie zasapię, spocę i czy nie zostanę z tyłu! Zwykle dziesięciolecie firmy obchodzi się przecież w zupełnie inny sposób. Laurki w postaci kolorowych folderów, tabel, wykresów i referencji od klientów. Oczywiście film promocyjny z patetyczną muzyką i ujęciami z lotu ptaka. Do tego bankiet, na którym gra do kotleta jakaś „trendy gwiazdka”. Skąd w ogóle pomysł na rozmowy o biznesie podczas biegu?



Krzysztof: Po latach treningu i przygotowań do maratonów zauważyłem, że nie ma lepszej koncentracji niż długi, spokojny bieg. Umysł jest skupiony i precyzyjny, potrafi zaskakująco łączyć fakty i wyciągać odpowiednie wnioski. I spokojnie – umówmy się, że dziś będzie to bieg na równe 10 kilometrów. Gdzie każdy kilometr, to jeden rok. Chyba jeszcze nikt do tej pory, w taki sposób nie opisywał działalności firmy. Skoro jednak nasza historia jest nietypowa, to może warto również pokazać ją niekonwencjonalnie? Spróbujmy! Jak sama zauważyłaś, najtrudniejszy był początek i on mnie najbardziej interesuje, bo ja dołączyłem równo dziesięć miesięcy od założenia firmy. To czas, który znam tylko z opowieści. Pamiętasz w ogóle dzień, w którym się poznaliśmy?



A.: Odpowiem klasykiem „Wspaniały to był dzień, nie zapomnę go nigdy”, a tak na serio nasze poznanie, czy raczej poznawanie, trwało dłużej niż jeden dzień i uważam, że oczywiście jest warte przypomnienia. Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że byliśmy w zupełnie innej sytuacji życiowej. U Ciebie właśnie finalizowała się prawdopodobnie największa życiowa transakcja, jaką była sprzedaż home.pl. Nie ukrywajmy, że to przecież ogromny sukces osobisty, zawodowy i finansowy. Ja z kolei świadomie rzuciłam dużą i stabilną firmę, w której pracowałam wiele lat i postanowiłam spełnić swoje marzenie, jakim było prowadzenie własnej działalności. Doszłam do przekonania, że to ostatni moment dobry w moim życiu na wprowadzenie zmian. Miałam 44 lata i gotowość do tego, aby znieść następnych pięć chudych lat. Zdawałam sobie sprawę, że nie będzie tak kolorowo i bezpiecznie finansowo jak w korporacjach. Miałam świadomość, że własna firma, to zupełnie inna i dużo większa odpowiedzialność. Nie tylko za siebie, ale też za ludzi, którzy razem ze mną będą tę firmę budować. Że wiara w sukces jest ważna, ale rynek może brutalnie zweryfikować moje plany. Co istotne, nie byłam przecież też typowym „startupowcem”. Najczęściej to młodzi ludzie, którzy mają zupełnie inne możliwości, energię i wiedzę na temat nowoczesnych technologii. I są „bardziej” gotowi na ryzyko. Ja z racji wieku miałam o wiele trudniejsze zadanie. Miałam doświadczenie, pewną „mądrość życiową” i cierpliwość,

której młodym często brakuje. To zdecydowanie było moim atutem. Nigdy nie prowadziłam jednak firmy internetowej, nie musiałam walczyć o utrzymanie jej na rynku, a z tym wiązał się strach. O siebie, rodzinę i przyszłość. A jednak mi uwierzyłeś.

K.: Wejdę ci w słowo. Energii to w ogóle Ci nie brakowało. Ja doskonale pamiętam dzień, kiedy zdecydowanie wkroczyłaś do mojego gabinetu w dawnej siedzibie home.pl. Byliśmy już oczywiście po wymianie maili i rozmowie telefonicznej, ale to właśnie nasze spotkanie osobiste było tu kluczowe. Zdradzę Ci, że sam proces decyzyjny nie był, ani długi, ani skomplikowany, a do analizy wszystkich „za i przeciw” użyłem cennego narzędzia, jakim jest... nos. Stwierdziłem, że skoro inwestuję, to ryzykuję. A że w tego typu projektach inwestuje się jednak bardziej w ludzi, niż w pomysły, to odpowiedz sobie sama, czy byłaś wiarygodna. Choć pamiętam też, że tego dnia byłaś strasznie zdenerwowana, wręcz rozdygotana. Ale i bardzo autentyczna. Oczywiście zastanawiałem się, czy nie ma tu jakichś pułapek, czy coś nas nie ogranicza, a także, czy na pewno rozumiesz rynek, na którym chcesz działać.

A.: No tak, rok 2012 zamknęłam wynikiem 1608 zł netto, co większość ludzi mogłaby uznać za totalną porażkę. I w odniesieniu do włożonych nakładów, czasu i zaangażowania faktycznie nią



było. Jednak ja szybko się nie poddaję. Dla mnie ważniejsza była sprzedaż, nie zysk! Nasz pierwszy kontakt był w kolejnym roku, 22 stycznia, więc firma nie prezentowała się najlepiej. Ja chyba też niespecjalnie – stara, nawiedzona baba, która uwierzyła w coachingowy bullshit?

K.: Mam zaprzeczyć? No tak, pewnie nikt już nie pytał się Ciebie o dowód osobisty, gdy kupowa-

łaś alkohol. I masz rację, że nie byłaś typowym reprezentantem środowiska start-upu. Dla mnie jednak było ciekawe, że ktoś z doświadczeniem w dużych biznesach i konkretnymi umiejętnościami dotyczącymi branży, w której ma działać projekt, ryzykuje własne środki i mimo trudności się nie poddaje. Dodatkowo pamiętaj, że nie przysłaś do mnie z pomysłem, czy wstępną koncepcją, tylko z gotowym, działającym serwisem.

Pomyślałem, że jest to mocny argument i choć oczywiście odbiegałaś od pewnego typowego schematu, to uznałem, że warto. A propos bieganina, wiesz, że nami już pierwszych 1000 metrów? Rozumiem, że przyspieszamy?

Drugi kilometr

A.: Faktycznie jakoś lepiej się teraz biegnie. Drugi rok, czy jak wolisz drugi kilometr, to jakby złapać wiatr w żagle. Zanim jednak podpisaliśmy umowę inwestycyjną w czerwcu 2013 roku, trzeba było przejść proces badania *due diligence*. To dla mnie miało duże znaczenie, bo niezależnie od celu, jakim było Twoje formalne i prawne wejście w spółkę, podczas badania kondycji firmy okazało się, że popełniłam jeden poważny błąd w wyliczaniu cen dla

klientów i stawek dla tłumaczy. W skali sprzedaży, którą mieliśmy na początku, nie miało to większego znaczenia, ale przy dynamicznym wzroście zleceń, ujemna marża mogła nas zoczytnie dobić. Pamiętam, jak podczas robienia tabeli i notatek olśniło mnie, że z punktu widzenia elementarnej matematyki moja firma jest do bani. A biznes to przecież nie misja, atmosfera wśród pracowników, zadowolenie klienta, czy innowacyjność, tylko cyfry. W tym momencie mogłabym się poddać, mówiąc kolokwialnie „pobierać zabawki i iść do domu”. Zamiast tego odetchnęłam z ulgą i cieszyłam się, że błąd odkryłam zanim zdążył całkowicie pogrążyć moją firmę i moje marzenie. Najważniejsze to się nie poddawać, a z popełnionych błędów wyciągać naukę na przyszłość. Zaczynałam od zera i mając oczywiście jakieś zasoby spodziewałam się, że zanim firma zacznie zarabiać, upłynie jakiś czas. Nie sądziłam tylko, że moment, w którym kończą się własne pieniądze, przyjdzie tak szybko i będzie tak trudny. Wtedy odbywa się prawdziwa weryfikacja twojego pomysłu – sprawdzenie, czy potrafisz działać, gdy mija entuzjazm pierwszych dni. I czy masz tak naprawdę „cojones”, czy tylko uległeś samouwielbieniu. W moim przypadku ta weryfikacja i kontakt z rzeczywistością uświadomił mi, że chcę mieć inwestora. To „chcenie” nie oznaczało jednak tylko chęci pozyskania środków finansowych, ale przede wszystkim znalezienia kogoś, kto będzie ze mną pracował. Kto pokaże mi,

jak ustrzec się kolejnych błędów lub jak sobie z nimi poradzić, jeśli się jednak zdarzą. Zależało mi na inwestorze, który nie tylko „wyłoży kasę”, ale będzie mnie i cały zespół stale motywował. Porównując to do naszego biegu – firma to nie jest sprint na sto metrów, tylko maraton. Zawsze zdarzą się nieuniknione i niespodziewane kłopoty podczas biegu. Ból kolana, skurcz mięśnia, czy skręcenie kostki można pokonać, gdy ma się odpowiednie wsparcie.

K.: Zastanawiam się co mam odpowiedzieć. Jak inwestujesz w projekt, to jest tak, jakbyś kupował bilet w nieznaną. Na początku nie wiesz, czy to jest bilet do sukcesu, czy do problemów. Moja obecność nie jest typową rolą inwestora, bo w zasadzie powinienem siedzieć z założonymi rękami i tylko rozliczać Cię z wyników. W tym projekcie podoba mi się, że mogę być aktywny. Zresztą, ja nigdy nie jestem biernym obserwatorem i można powiedzieć, że lubię angażować się w bieżącą działalność firmy. Trzeba Ci przyznać, byłaś bardzo konsekwentna od początku naszej współpracy. Przede wszystkim rozmawiamy, to znaczy ty słuchasz...

A.: Interesująca definicja rozmowy. Możesz to rozwinąć?

K.: Chodzi o to, że nie zamykasz się na informację, że nie jesteś pasywna. Mam takie projekty, w których brakuje wzajemnego zrozumienia i czasami

w konsekwencji są np. problemy z rentownością. Wtedy, nie ukrywam, że mam swego rodzaju przyjemność w mało łagodnym wyrażaniu opinii: „a nie mówiłem”. Brzmi trochę sadystycznie, ale szczerść, to moim zdaniem klucz w relacjach biznesowych. To zresztą wymaga rozwinięcia. Moim zdaniem za mało się mówi i podkreśla, jak wielkie znaczenie mają elementarne wartości, jak uczciwość, lojalność i zaufanie. Ja wiem, że jeśli będziesz miała problem, to do mnie zadzwonisz i wspólnie poszukamy rozwiązania. We wspólnym prowadzeniu interesu nie ma miejsca na indywidualne akcje, a lojalność i zaufanie powodują, że życie jest prostsze. Szczerze mówiąc, wolę taką relację, w której może nie zarobię kosów, ale mam spokojną głowę, że nic złego nie dzieje się za moim plecami.

A.: Czyli jak, dzwonię i zaczynam od słów: „Krystian, mamy syf” to wiesz, że „coś” się dzieje i nic przed Tobą nie ukrywam? Zgadzasz się z Tobą, że o sprawach dobrych można poinformować z opóźnieniem, a o złych trzeba powiedzieć od razu, zanim nabiorą większego wymiaru. Nie wiem jednak czy wiesz, jak ogromne znaczenie ma dla mnie Twoje wsparcie. Świadomość, że mogę na Ciebie liczyć zawsze, zwłaszcza w chwili najgorszego „syfu”, z którym sama nie umiem się zmierzyć. Wiem, że nawet jeśli zacznę panikować, choć raczej mi się to nie zdarza, będziesz moim kubłem zimnej wody i wspólnie znajdziemy rozwiązanie. Przy okazji – mam wrażenie, że



jesteśmy już na trzecim kilometrze. Może więc czas na podsumowanie pierwszego roku naszej współpracy?

Trzeci kilometr

K.: Przede wszystkim „syfy”, które się nam zdarzyły były relatywnie niewielkie w porównaniu do nieprzyjemnych zdarzeń z innych moich biznesów czy projektów. Nazwałbym je raczej drobnymi bałaganikami, które dosyć sprawnie sprzątamy. Wróćmy jednak do biegania. Trzeci kilometr to trzeci rok, który zdecydowanie udowodnił, że miałaś rację co do samej idei. Z tego co pamiętam, właśnie w 2014 roku mieliśmy skokowy wzrost liczby rejestracji nowych klientów, a co najważniejsze samej sprzedaży. Zmieniła się także nazwa z brilliantpartner.com na dogadamycie.pl. Pamiętam też, że serwis dostał nagrodę za usługę roku 2014, a Ty sama nominację do nagrody menedżer roku w lokalnym dzienniku. Powiem szczerze, że w portfolio spółek, w których mam udziały, nasza firma była wtedy absolutnie wyjątkowa. Mówiąc wyjątkowa, mam na myśli, że niepasująca do typowego „dekalogu” inwestycyjnego. Nikt by chyba nie uwierzył, że można w ten sposób pozyskać kapitał – no, chyba że ktoś inwestuje w rynek narkotykowy albo robi interesy w stylu: „jak gangus z gangusem”. Poszliśmy na przekór utartym schematom i się udało. To może nie jest biznes, który rośnie 100% rok po roku, ale w tym projekcie ważne jest – z mojego punktu widzenia

– stabilność, przewidywalność i elastyczność. W dogadamycie.pl czuję się bezpiecznie. Jest walka o to, aby osiągnąć dobry wynik, walka o to, aby dbać o klienta i iść do przodu. I to jest najlepsze potwierdzenie, że mój „nos” się nie mylił w styczniu 2013 roku.

A.: Masz wyjątkową pamięć i jesteś też dziś wyjątkowo dla mnie miły. Ciekawe, że w pierwszej wersji naszej rozmowy w tej książce mieliśmy spotkać się na ringu bokserskim. Masz jednak rację, tak było, choć zastanawiam się, co szykujesz dla mnie na kolejnych kilometrach. Na którym etapie wypunktujesz mi moje wady i przypomnisz potknięcia i upadki? Zanim jednak rozpoczniemy czwarty kilometr, zadam Ci pytanie wprost – nie żałujesz decyzji o inwestycji w dogadamycie.pl?

K.: Oczywiście, że nie żałuję. A redaktora, który będzie to przepisywał, proszę o adnotację, że poprzednie zdanie zostało wyrażone głosem pełnym szczeremu entuzjazmu.

Czwarty kilometr

A.: Muszę Ci się przyznać, że na razie dobrze mi się z Tobą biega, ale ciągle przyspieszasz i za chwilę pewnie zostanę z tyłu. Dopóki nie mam zadyszki i dotrzymuję Ci tempa, to pogadajmy chwilę o celach prowadzenia biznesu – wiesz taki wątek, w którym opowiadasz górnolotne historie o motywacji, osiągnięciu celów życiowych,



spełnianiu marzeń. Nie pytam o sens życia, bo wiem, że nie lubisz takich rozmów i pewnie zaraz odeślesz mnie do filmu Monty Pythona, polecając scenę z wymiotami.

K.: Celem prowadzenia firmy jest zarabianie pieniędzy. Wiem, że brzmi to mocno brutalnie, czy też obcesowo i dla niektórych może być wręcz skandaliczne, ale jeśli tworzymy firmę bez jej fundamentalnej podstawy, jakim jest wynik finansowy, to popadamy w pułapkę. Paradoksalnie tylko wtedy, gdy biznes jest dochodowy, możemy myśleć o jego społecznej odpowiedzialności, filantropii, czy dodatkowych działaniach proekologicznych. Przypomina mi się dzień, w którym po raz pierwszy przyjechałem do Koszalina, aby lepiej poznać Twój biznes. To było jeszcze w starej siedzibie. Pamiętam Anię, która siedziała przy nowoczesnym, szklanym biurku. Siedziała i nudziła się trochę, bo klientów, jak na lekarstwo. Zastanawialiśmy się już wtedy wspólnie, co zrobić, aby zamówień było więcej. Cała infrastruktura była gotowa, brakowało tylko „powietrza”, czyli klientów, którzy mogliby nam płacić. Szukaliśmy, próbowaliśmy i w końcu „zażartło”. Gdyby nie Twoja determinacja, a moja konsekwencja, to być może ten projekt skończyłby się zwyczajnym przejeżdżeniem zainwestowanych pieniędzy i przykrym rozczarowaniem.

A.: Tak, pamiętam doskonale, że każdy wydatek musiał być przez Ciebie zatwierdzony.

Dosłownie, każda złotówka. Ale spokojnie, nie uważam tego za coś złego. W 2012 roku moja wiedza o biznesie internetowym była przecież bardzo skromna. Ja wywodzę się z przemysłu, gdzie składniki materialne są zupełnie inne niż w dogadamycie.pl. Wyposażenie hal, wózki widłowe, maszyny i linie produkcyjne – na tym się znałam. Okazało się, że tłumaczenia online są zupełnie czymś innym. W sumie to podziwiam siebie za odwagę – wejście na zupełnie obcy rynek, brak wiedzy na temat pewnych procesów, a do tego dziwna wiara, że to może się udać. Muszę jednak przyznać, że bodźcem do wejścia na właśnie ten rynek była dla mnie Ania, o której wspomniałaś wcześniej. Kobieta znająca cztery języki, która – podobnie jak Ty – uwierzyła we mnie i mój pomysł na biznes. I nie tylko pomogła mi go doprecyzować, ale razem ze mną znosiła wszystkie wzloty i upadki.

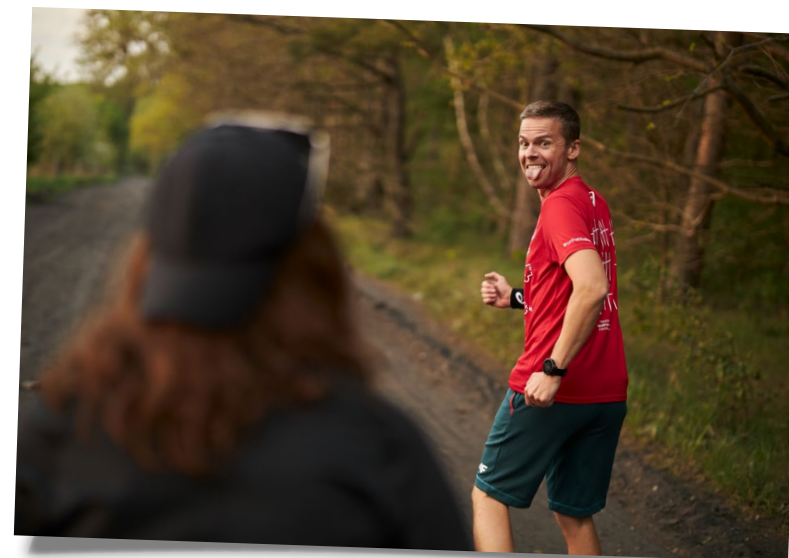
K.: To pociągnijmy to tempo biegu i sam temat. Wyjaśnij mi proszę, skąd w Tobie ta motywacja i jaki masz biznesowy cel w życiu? I co jest takiego w Tobie, że ze wcale nieoczywistych i wręcz zaprzeczających warunków startowych powstała firma, która odnosi sukcesy i nadal rośnie.

A.: Nie uważam, że mam jakieś wyróżniające cechy charakteru czy specjalne umiejętności. Z pewnością przeszłam typową drogę każdego startupowca i zaliczyłam różne etapy – od entuzjazmu i samozachwyty do bolesnej, twardej

rzeczywistości i zwątpienia. Prawdopodobnie każdy, kto zaczyna własny biznes, jest przekonany o jego genialności, a schody zaczynają się dopiero podczas faktycznej realizacji i weryfikacji – w tym wypadku przez klientów. W moim przypadku otarłam się także o przysłowiowy dołek, bo byłam bliska uznania porażki i zamknięcia firmy, choć nigdy nie zwątpiłam w samą ideę.

Na początku 2012 roku, gdy zdecydowałam o rozwinięciu pomysłu, tłumaczenia w Polsce były sprzedawane w tradycyjny sposób. Klient musiał trafić do biura tłumaczeń, standardem były długie terminy, a pisma wysyłano faksem – ba, często nawet używano maszyn do pisania. Mój pomysł był prosty i wydawało się, że przez to genialny. Klient dostawał gotowe narzędzie, które za niego organizowało i skracало całą ścieżkę – od wyboru zleceniobiorcy, obsługi zamówienia, do końcowego efektu, jakim był gotowy, przetłumaczony dokument. Naiwnie założyłam, że to błyskawicznie zrewolucjonizuje branżę i przyjmie się w ciągu 24 godzin. Jednak każda innowacja przechodzi przez proces adaptacji. Błąd polegał na przekonaniu, że rynek tylko czeka na nasze rozwiązanie i wystarczy informacja, że istniejemy i mamy nowe świetne narzędzie. Jednak klient musi uwierzyć, że dana usługa lub produkt są mu potrzebne, a do tego niezbędny jest czas. W większości przypadków innowatorzy na początku

działalności osiągają stratę i wiele naprawdę świetnych pomysłów nie przetrwało, bo tego czasu zabrakło. Ja na szczęście miałam Ciebie. Pojawiłeś się w momencie, w którym stanęłam przed podjęciem najtrudniejszej w moim życiu decyzji o pożegnaniu się z marzeniem i formalnym przyznaniu, że był to tylko piękny sen, który nie miał szans się spełnić. Nie mogłam już dalej inwestować własnych środków, których najzwyczajniej zaczęło mi brakować. Dalsze prowadzenie firmy mogłoby zagrozić nie tylko mi, ale i moim najbliższymi. A tego bardzo nie chciałam. Brutalnie dotarła do mnie świadomość, że sama dalej nie dam rady. Dlatego z takim napięciem oczekiwałam na Twoją decyzję i jedno małe



czajniej zaczęło mi brakować. Dalsze prowadzenie firmy mogłoby zagrozić nie tylko mi, ale i moim najbliższymi. A tego bardzo nie chciałam. Brutalnie dotarła do mnie świadomość, że sama dalej nie dam rady. Dlatego z takim napięciem oczekiwałam na Twoją decyzję i jedno małe



„tak”, które mogło odmienić całą moją przyszłość.

K.: To miłe, ale może ciut konkretniej? Najlepiej na liczbach, bo to chyba każdego interesuje?

A.: Proszę bardzo – zanim pojawiłeś się w firmie, ja zdążyłam zainwestować około 300 tysięcy. Taką kwotę pochłonęło stworzenie zaplecza technicznego, umożliwiającego funkcjonowanie firmy. Niestety, na reklamę i marketing zabrakło już środków. W pierwszym roku działalności sprzedaż osiągnęła zaledwie 1608 zł netto. Ta liczba mówi sama za siebie. Niewiele osób wiedziało o istnieniu firmy, a jeszcze mniej chciało jej zaufać. Dopiero Twoje 500 tysięcy spowodowało, że w 2017 roku przychody netto dogadamycie.pl wyniosły ponad 3 mln zł. Byliśmy wtedy na pierwszym miejscu w Polsce, a trzecim w Europie Środkowej w słynnym rankingu Deloitte.

K.: Dopowiem, że ten ranking to Technology Fast 50 Central Europe, w kategorii „Rising Stars”, czyli wschodzących gwiazd biznesu. To był jednak dopiero szósty rok działalności, do którego dojdziemy, a raczej dobiegniemy. Przypomnę, że dopiero kończymy czwarty kilometr, a ja nadal nie dowiedziałem się, jakie są Twoje cele biznesowe. Sprytnie omijasz wątki osobiste, a pamiętaj, że ja zainwestowałem nie tyle w firmę, ile w Ciebie.

Piąty kilometr

A.: Mam wrażenie, że cały czas jest to opowieść o mnie, a przecież dogadamycie.pl to historia całego zespołu. Do tego wątku oczywiście dojdziemy, czy jak wolisz, dobiegniemy. Moim zdaniem ważnym elementem w tej historii jest właściwa motywacja. O ile sam biznes internetowy był w moim przypadku czymś zupełnie nowym, tak język, komunikacja, a także zarządzanie zasobami i zespołami pracowników i współpracowników znałam już od dawna. Pewnego rodzaju wyjaśnieniem są moje początki zawodowe, gdy zostałam lektorem języka niemieckiego na Politechnice Koszalińskiej. Szybko zrozumiałam, że ten rodzaj pracy zupełnie mnie nie interesuje. Zamiast przysłowiowej „cieplej posadki” i kariery naukowej, już po roku pracy zrezygnowałam i wybrałam zagraniczną korporację. Po kilku latach ze stanowiska sekretarki i asystentki zostałam członkiem zarządu dużego, międzynarodowego przedsiębiorstwa z branży przetwórstwa drzewnego. Zawsze marzyłam jednak o własnej działalności. I dziś mogę stwierdzić, że to marzenie udało mi się spełnić.

K.: Nic dziwnego, że Polska Fundacja Przedsiębiorczości dała Ci w 2016 roku nagrodę, w której, z tego co pamiętam, doceniono Twoją odwagę, determinację i zapał. Firmę tworzyłaś przecież od zera, a kolejne lata udowodniły, że jesteś skuteczna i konsekwentna. To cechy, które warto nagradzać, szczególnie, że dostałaś też nagro-

dę Złotego Denara od koszalińskiego środowiska biznesowego. Trzeba pamiętać i doceniać, że w małym mieście, które przecież ma status powiatu, stworzyłaś firmę o zasięgu ponadregionalnym. Wróćmy jednak do 2016 roku, gdy zaczęliśmy poważne rozmowy o przejęciu serwisu turbotlumaczenia.pl, który był przecież naszą największą konkurencją.



A.: To był świetny rok i mogę oczywiście wymienić – pierwszą fakturę powyżej 10 000 zł, integrację z narzędziami CAT, wejście na rynki zagraniczne, przejęcie Globtra, czy powstanie nowych marek. Było też pierwsze tłumaczenie symultaniczne konferencji, organizowanej przez Termy Uniejów i pierwsi klienci na rynku niemiec-

kim i brytyjskim. Zastanawiam się tylko, dokąd zmierza nasza rozmowa. Mieliliśmy unikać tego typu wyliczanek, bo przecież nie jesteśmy spółką akcyjną, aby się chwalić i podbijać wartość akcji firmy.

K.: No to posmakujmy też goryczy porażki – wymieniałaś markę „Globtra”. Z założenia miał to być portal integrujący branżę tłumaczy w Polsce. Dlaczego się nie udało?

A.: Widzę, że dotarliśmy do miejsca, w którym uderzasz w czułe punkty. Nawet dzisiaj, choć minęło już kilka dobrych lat, o Globtrze nie jest łatwo mówić. Pochłonęła środki finansowe, czas, energię, mnóstwo pracy i zaangażowania ówczesnego zespołu. Długo wierzyliśmy, że uda się ją jeszcze uratować. Niestety, przyszedł dzień, w którym musieliśmy pogodzić się z porażką. Można ją porównać do „solidnego policzka”: z jednej strony ból i wiele negatywnych emocji, z drugiej jednak otrzeźwienie i świadomość, że nawet takie sytuacje da się przeżyć. Nawet więcej, można z nich czerpać siłę do dalszego działania. A dlaczego się nie udało? Dobre pytanie i trudna odpowiedź. Serwis globtra.com w 2016 roku był specyficznym miejscem, stworzonym głównie przez samych użytkowników, ale technologicznie przestarzałym. Potrzebna była szybka zmiana systemu i wdrożenie nowych narzędzi. Myśleliśmy o stworzeniu prawdziwego „marketplace” dla usług tłumaczeniowych,

a okazało się, że użytkownicy byli bardzo przyzwyczajeni do minimalnej funkcjonalności serwisu i nie oczekiwali niczego więcej. Choć serwis jest dziś historią, sama idea przetrwała i realizujemy ją w fundacji Globtra.

K.: Jesteśmy na półmetku, może czas na małe podsumowanie, sprawdzenie czasu i zmierzenie tętna – bo za chwilę czeka nas najciekawszy odcinek biegowy, gdzie jeszcze podkrećmy tempo.

Szósty kilometr

A.: Zastanawiam się, czy ciągle przyspieszanie jest konieczne? Czy firma nie ma takiego momentu, w którym należy zwolnić, utrzymać stabilizację i tylko odcinać przysłowiowe kupony?

K.: Porównując naszą firmę do rozwoju człowieka, to jesteśmy obecnie na etapie dojrzałego nastolatka. Dziesięć lat funkcjonowania to znakomity wynik dla firmy z tego sektora, ale miarą skuteczności bieżących decyzji jest nie tyle wynik, co trendy rozwojowe. I podejmowanie wyzwań. Na początku 2017 roku takim krokiem milowym był zakup serwisu turbotlumaczenia.pl, który był typowym start-upem z Krakowa.

A.: Pierwsza nazwa serwisu turbotlumaczenia.pl to pleonazm.pl. Interesująca jest historia powstania tego serwisu i jego twórcy. Zresztą Robert, jeden z założycieli, jest z nami do dziś i pełni rolę dyrektora technicznego. Nasza konkurencja po-



wstała na początku 2013 roku, czyli już po uruchomieniu pierwszej wersji brilliantpartner.com. Co ciekawe, nam budowa serwisu, w tym uruchomienie strony, przygotowanie zaplecza technicznego i wdrożenie wszystkich modułów zabrało kilka miesięcy, a kolegom z Krakowa dokładnie 33 godziny! Podejście było zupełnie inne – twórcy potrzebowali narzędzia do szybkiego i sprawnego tłumaczenia swoich tekstów. Nawet sama nazwa domeny odnosząca się do popularnego błędu językowego, była odrobinę przypadkowa – pleonazm oznacza przecież „masło maślane” i nie kojarzy się w żaden sposób z tłumaczeniem. I tak, z oddolnej potrzeby powstał serwis, który błyskawicznie przyjął się wśród klientów. Z tego co wiem, po kilku minutach od startu udało się im zdobyć pierwszego

klienta, po 6 miesiącach mieli już 2,5 miliona przetłumaczonych znaków i ponad 1000 zleceń. Można było popaść w kompleksy i ostro się wkurzyć. Zwłaszcza biorąc pod uwagę długą drogę pod górę, jaką przeszło dogadamycie.pl.

K.: Bo to był klasyczny, modelowy wręcz, start-up, turbotłumaczenia.pl rosły przez pierwsze pół roku w tempie 8% tygodniowo. Twoje przedsięwzięcie, jak już wspominałem, nie było typowym start-upem. Bliżej mu do wolno rozwijających się firm budowanych na twardych podstawach, gdzie sam pomysł – nawet genialny – nie jest najważniejszy. A fakt przyłączenia tej marki do grupy dogadamycie.pl świadczy, że nasze podstawy są solidne. W końcu to my kupiliśmy ich, a nie oni nas. Myślę, że z pożytkiem dla wszystkich.

A.: Zdecydowanie się z Tobą zgadzam. W tym miejscu warto wyjaśnić, że przyłączenie turbotłumaczeń.pl nie miało nic wspólnego ze spektakularnym, zimnym przejściem, jakie widzi się często w amerykańskich filmach. Nikt niktogo nie „wykończył”, a pracownicy nie trafili „na bruk” bez dalszych środków do życia. Była to w pełni świadoma, dobrowolna i pożądana decyzja obu stron. Dzięki niej dogadamycie.pl zyskało nie tylko świetnie prosperujący serwis, ale również niezastąpionych pracowników, z których dwoje jest z nami do dzisiaj. Mowa tu o wspomnianym już wcześniej Robercie, człowieku dys-

ponującym ogromną wiedzę i umiejętnościami, ogromnie zaangażowanym w realizację celów firmy, oraz Marioli, jednej z najlepszych tłumaczy, z jakimi udało nam się nawiązać współpracę. I do tego sportsmenkę, osiągającą sukcesy w piłce nożnej. Dobiegamy chyba do momentu, w którym mi już trochę brakuje oddechu – to może więc czas na Twoją opowieść? Proponuję chwilę przerwy, w której opowiesz skąd w ogóle pasja do biegania i jaki jest Twój rekord życiowy w maratonie.

Siódmy kilometr

K.: Z przyjemnością zacznę od ostatniego pytania – rekord życiowy zrobiłem w Hamburgu w 2019 roku z wynikiem 2 godziny, 59 minut, 24 sekundy. O bieganiu mógłbym długo i namiętnie opowiadać, zdobyłem koronę polskich maratonów już w 2013 roku. Biegam też na słynnych światowych imprezach w Berlinie, Nowym Jorku, Wiedniu, Paryżu, Rotterdamie, czy w Walencji. Zacząłem przygodę z maratonem jednak dosyć późno, bo dopiero przed trzydziestką.

A.: To wszystko już znam, wiem także, że Twoim mentorem jest słynny w branży biegaczy Jurek Skarżyński. Poznałam też historię z 2013 roku, gdy w Berlinie do złamania barier trzech godzin zabrakło Ci 51 sekund. I kolejny, trudny maraton w 2017 roku, w tym samym mieście, gdy jedynie 11 sekund dzieliło Cię od

magicznej trójki. Wiem, że to silnie przeżywałeś. Skoro więc mnie męczysz pytaniami i wyciągasz osobiste wątki, to i ja zadam Ci pytanie wprost – biegasz „po coś”, czy może uciekasz „przed czymś”?

K.: Nie ma tu niestety żadnej wielkiej filozofii, czy osobistych smaczków. Początek był chyba typowy, a motywacja wręcz banalna. Kilkanaście lat temu miałem kilka kilogramów za dużo i postanowiłem to zmienić. Zacząłem chodzić na siłownię, gdzie elementem rozgrzewki była zawsze bieżnia mechaniczna. Na tyle mi się to spodobało, że postanowiłem pobiegać na dworze. A później nagle w Internecie znalazłem plan przygotowań, z którego wynikało, że mój ówczesny poziom wybiegania był punktem startowym do przygotowań do maratonu. Zrealizowałem plan, choć nie bez przeszkód i błędów i dotarłem do kratki „niedziela – START – Maraton”. Wiem, że mam opinię biegowego „stachanowca” – koledzy mówią, że jeśli Krystian nie pojawi się na umówionym treningu, to znaczy, że umarł. Bieganie stało się ważną częścią mojego życia i na pewno jest formą uzależnienia, choć dla mnie to raczej zdrowe samoograniczenie.

A.: Co masz na myśli?

K.: Przy tego typu pracy, jaką wykonuję, pojawia się ryzyko braku umiaru i zatracenia. Czasami

pojawia się pracoholizm, pęd do posiadania, niektórzy popadają w hedonizm, a nawet w uzależnienia. Ja świadomie wybrałem bieganie, jako łagodną formę ascetyzmu. Dla przykładu – nie zawsze mogę wieczorem spotkać się ze znajomymi, bo rano czeka już trening.



A.: Potrafię to zrozumieć. Jak wiesz, ja również biegam, choć znacznie bardziej amatorsko niż Ty. Swój pierwszy maraton postanowiłam przebiec, żeby udowodnić coś sobie samej. Wcześniej pokonywałam trasy o długości 15 km, postanowiłam zmierzyć się również z dystansem prawie trzy razy dłuższym. I w połowie sama siebie za to nienawidziłam. Wtedy również znalazł się człowiek, który we mnie uwierzył, podał mi pomocną





dłoń i pomógł dotrzeć do mety. Podobnie jak Ty. Medytujesz podczas biegu?

K.: Nie, ale potrafię precyzyjnie odmierzać odległość i czas i nie muszę nawet patrzeć na zegarek. Dla przykładu wiem, że za chwilę zaczniemy ósmy kilometr.

Ósmy kilometr

A.: Mam wrażenie, że trochę zbyt szybko przebiegliśmy ten odcinek i niewiele się dowiedziałam o Twoich planach, motywacjach, czy marzeniach. Czy w ogóle masz świadomość, jak duży wpływ wywierasz na innych? Moje życie zawodowe byłoby zupełnie inne, gdyby nie Twoja inwestycja, być może dziś pracowałabym w jakimś wielkim korpo. Może na stanowisku człon-

ka zarządu, dyrektora, czy prezesa, a może na stanowisku sekretarki – choć to w samo w sobie nie jest oczywiście niczym złym. Mnie zmieniłeś – temu nie zaprzeczysz, a czy wiesz, że są ludzie, którzy dzięki tobie zaczęli przygodę z bieganiem? W naszej firmie ta forma aktywności stała się zresztą sposobem na pomaganie innym.

K.: W osobnym rozdziale tej książki opowiemy, o tym skąd się wziął pomysł na inicjatywę #BiegiemNaPomoc, a co do wywierania wpływu na innych, to nie uważam, że jest on aż tak ważny. Kluczowa jest wewnętrzna decyzja o zmianie w życiu – jeśli uczeń jest gotowy, to nauczyciel i tak się znajdzie. W home.pl pracownik nr 2, którego osobiście zatrudniłem, przeszedł wszystkie szczeble, został moim następcą w roli szefa BOK-u i wszedł do zarządu po naszym odejściu. A teraz współpracujemy razem przy innym projekcie. Ja po prostu lubię pracować z ludźmi, którzy chcą słuchać i pytać, a Ty do nich należysz i to jest wyjątkowo cenne. Jak wspominałem wcześniej, w moich inwestycjach bywa z tym różnie. Jeśli ktoś rozumie, po co szukał inwestora i business angela, to „wyciągnie” z tego znacznie więcej niż tylko pieniądze. W dogadamycie.pl rozmawiamy, słuchamy się wzajemnie, podejmujemy decyzje, sprawdzamy efekty, wyciągamy wnioski. Dogadujemy się! A jeśli chodzi o wątki osobiste, to dla mnie 2019 był szczególnie intensywny, bo oprócz rekordu w Hamburgu

przebiegłem też ultramaraton, który trwał około 9 miesięcy, a konsekwencje będą z radością ponosił jeszcze bardzo długo.

A.: Zostanie zapisane, że był to rok wyjątkowo płodny w dogadamycie.pl. Pierwszy pomysł na tę książkę został zresztą nazwany „Projekt Cudo”. To na dowód, że Krystian jest nie tylko umyślnie ścisłym i człowiekiem racjonalnym. Przyznam się, że podziwiam Twojego *Homo oeconomicusa*, ale szczerze, wolę Twoje ludzkie oblicze.

K.: Agnieszko, chyba dopadł Cię „runners high” i zaczynasz się rozklejać. Przyjmuje to ostatecznie zdanie, jako uboczny efekt endorfin lub endokannabinoidów, które pojawiają się podczas długich biegów. Zanim jednak minie Ci haj, poproszę, abyś przypomniiała wyniki z 2019 roku, bo one także mogą przynieść euforyczne stany.

A.: Proszę bardzo – w 2019 roku pracowało dla nas ponad 1000 tłumaczy z 63 krajów świata. Mieliśmy 9581 rejestracji nowych klientów, a miesięczna sprzedaż przekroczyła pół miliona złotych. Przez te osiem lat zrobiliśmy ogromny progres. Nadal jednak nie spoczywamy na laurach. Każdy sukces wywołuje głód kolejnych. Utwierdza w przekonaniu, że można osiągnąć znacznie więcej. Zwłaszcza dzięki Robertowi, który w 2019 roku spowodował, że nasz dział Business Development wszedł w SCRUM.

K.: Czyli w zwinną metodykę zarządzania projektami. I tak oto zwinnie przebiegliśmy kolejny kilometr i zbliżamy się do mety. Czas opowiedzieć, kto z nami biegnie i jak się czujesz w roli szefa zespołu.

Dziewiąty kilometr

A.: Miałam z tym pewien dylemat – naturalnym elementem prowadzenia firmy jest zmienność otoczenia, w tym zmiany w zespole. W tego



typu projektach ludzie pojawiają się i odchodzą. I nie zawsze rozstania są lekkie i przyjemne. Choć w dogadamycie.pl akurat mamy szczęście do pracowników i współpracowników. Pod tym względem mamy cechę wspólną, ja również przy doborze pracowników bardzo często kieru-



ję się „nosem”. Przez te wszystkie lata moja intuicja mnie nie zawodzi, a doświadczenie na polu pozyskiwania efektywnego personelu staje się coraz większe. Zaczynałam wspólnie z Anią i jesteśmy razem do dziś. Tak samo Agnieszka, która pojawiała się kilka miesięcy później.

K.: O, to wiem doskonale, nawet wędrowni poeci o tym wiersze pisali. Zaraz, zaraz, jak to szło?

*Brilliant Partner – z początku firmę tak nazwała
Annę jako pierwszą do pracy zwerbowała
Potem była Stella lecz przez krótką chwilę,
Czmychnęła do Szwecji, co nie było miłe
Agnieszka za telefon szybko więc chwyciła
Do tłumacza swego w Szczecinie zadzwoniła
Była tak serdeczna, fachowa i miła,
Że w mig z Agnieszki TTL zrobiła*

A.: Nie skomentuję tego wiersza, ani okazji, na którą powstał. Muszę jednak przyznać, że pozyskanie Agnieszki nie było takie proste i wymagało przełamania jej oporu. Ja jednak od początku wiedziałam, że do nas dołączy, czego nie omieszkalam jej powiedzieć już przy jednym z pierwszych spotkań. Wróćmy do zespołu – Adam, który jest naszym dyrektorem sprzedaży, dołączył do zespołu w 2016 roku. To bardzo ciekawa i barwna postać w firmie. Z wykształcenia historyk, z doświadczeniem w branży samochodowej. Okazało się, że świetnie radzi sobie z klientami. Adam tworzy też znakomity zespół – u nas nazywamy go CMOK.

K.: Rozumiem, że Adam rozdaje buziaki, a nie, że odpowiada klientom, że mogą go „cmoknąć w pompkę”?

A.: Nie odpowiadam za Twój system skojarzeń! CMOK, to Centrum Miłej Obsługi Klienta, w którym oprócz Adama są Michał, dwie Agnieszki, Marcel i Anna. Za obsługę sprzedaży odpowiada z kolei Anna, Liwia, Paweł, Wiola i Agnieszka, a technicznie wspierają ich Michał i Damian.

K.: To ja dopowiem, że działem marketingu szeptuje Ania, z którą zaczynałaś przygodę, a pomaga jej „trzech panów M”, czyli Michał, Maciej i Mariusz – nie licząc Kingi. O Ani też powstał wiersz, choć wolę ten o Michale, który został napisany na jego urodziny:

*Żyj nam długo w szczęściu, zdrowiu
Nie oddamy Cię nikomu,
Bo to dla nas wielka chluba,
W teamie zawsze mieć Nieluba.*

A.: O Robertcie, szefie działu Business Development, też powstał zacytowany wiersz. Podobnie zresztą świętowaliśmy urodziny jego współpracowników, Kamila, Michała i Macieja. To nasza tradycja – albo wiersz, albo genialny mem stworzony przez Mariusza na prezent.

K.: Ale się zrobiło na koniec wzruszająco i nostalgicznie. Czy aby nie przesadzamy z lukrem?

A.: Może masz rację, zrobiło się słodko, ale przecież dziesięciolecie firmy obchodzi się jeden raz. Dlatego w kolejnym kilometrze pogadamy o naszej przyszłości. Przecież każdy bieg, nawet maraton ma kiedyś swój finisz.

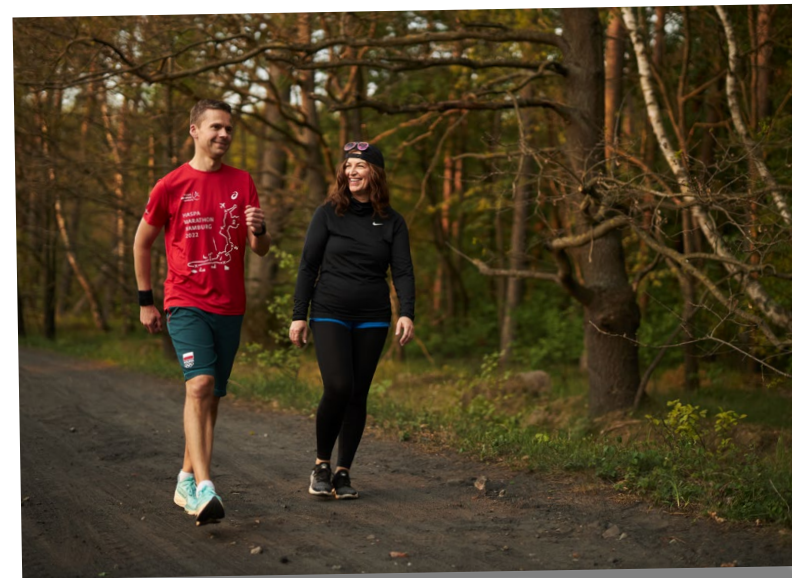
Dziesiąty kilometr

K.: Dlatego zacznę, jak zawodowy rekruter – gdzie widzisz siebie i firmę za kolejnych dziesięć lat? Czy masz takie plany? Zapytam także, czy bierzesz pod uwagę, że mogę wyjść ze spółki, co jest przecież swego rodzaju naturalną konsekwencją procesu inwestowania w start-upy.

A.: Odpowiem na ostatnie pytanie – nie boję się, że pewnego dnia odejdziesz, bo to nie ten rodzaj emocji. Po prostu chciałabym prowadzić dalej z Tobą dogadamycie.pl i mam nadzieję, że tak będzie. A co do perspektywy długoterminowej, to ostatnich dziesięć lat pokazało mi, że tworzenie takich planów zwyczajnie nie ma sensu. Mieliśmy po drodze wiele przygód i zdarzeń, które przeformatowały nasze myślenie o tym biznesie i czasami zupełnie zmieniły cele i narzędzia. W tego rodzaju biznesie, jak usługi tłumaczeń, większe uzasadnienie mają operacyjne plany, które dotyczą najbliższych kilku, kilkunastu miesięcy.

K.: To uważam zresztą za jeden z naszych największych atutów – wypracowaliśmy

w dogadamycie.pl sposoby wyznaczania zadań w krótkiej perspektywie. Pomaga to na błyskawiczną diagnozę obszarów, w których mamy braki i w których potrzebna jest szybka zmiana. W naszym sektorze taka zmienność jest naturalna, ale jest też wyzwaniem. Dla mnie waż-



ny jest jeszcze element ludzki – udało się nam zbudować zespół, który rozumie te procesy podobnie, jak my. Nie działamy w systemie hierarchii, tylko projektów. Strategia zwiększania kompetencji, samodzielności i odpowiedzialności, którą wdrażamy, zaczyna się sprawdzać. Dla mnie to dowód, że powoli wchodzimy w etap dojrzałości.



A.: Mam wrażenie, że miał być finisz, a chyba wchodzimy w kolejny etap biegu.

K.: Jak sama zauważyłaś – nasza firma to nie sprint, to maraton. Teoretycznie pozostało nam

jeszcze ponad 32 kilometry wspólnego biegu. Jak dla mnie czysta przyjemność.

A.: O mój Boże! To ile ja będę miała wtedy lat?



Rozdział 2

Nasza historia, jakiej jeszcze nikt nie widział

Komiks

W 2012 ROKU CZEKAJĄC NA SPEŁNIENIE PRZEPOWIEDNI MAJÓW O KOŃCU ŚWIATA PRZEŻYLIŚMY...

25 WRZEŚNIA 2012 W SIVEREKU W TURCJI PADŁ REKORD – 30 231 OSÓB CZYTAJĄCYCH NARAZ GŁOŚNO W JEDNYM MIEJSCU

8 STYCZNIA – XX FINAŁ WIELKIEJ ORKIESTRY ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

18 MAJA FACEBOOK WCHODZI NA GIEŁDĘ

SŁOWO ROKU 2012 – PARABANK – KONKURENCI TO: „HIPSTER”, „LEMING”, „TROTYL”

29 LUTEGO – PIERWSZY MECZ NA STADIONIE NARODOWYM W WARSZAWIE

JUŻ ZA CHWILĘ POLSKA STAŁA SIĘ WSPÓŁGOSPODARZEM EURO 2012. WYNIKU LEPIEJ NIE PAMIĘTAĆ.

MISJA ŁAZIKA CURIOSITY NA MARSIE

25 SIERPNIA WRÓCIŁ NA KSIĘŻYC NEIL ARMSTRONG (ZNACZY UMARŁ) I SPOTKAŁ SIĘ TAM ZE SŁYNNYM POLSKIM ASTRONAUTĄ... PANEM TWARDOWSKIM

4 MARCA W MARATONIE LAKE BIWA HENRYK SZOST WYNIKIEM 2:07:39 S POBIŁ REKORD POLSKI

GANGNAM STYLE PRZEKRACZA 1 MLD WYŚWIETLEŃ W YOUTUBE

PODWYŻSZENIE WIEKU EMERYTALNEGO DO 67 ROKU ŻYCIA

TYMCZASEM W KOSZALINIE...

TO MOŻE SIĘ UDAĆ, ALE CHYBA POTRZEBUJĘ JESZCZE DOBREJ NAZWY

FIRMA?

NAZWA?

FIRMA?

NAZWA?

KOMUNIKACJA

TŁUMACZENIA

POCZTA E-MAIL

JĘZYK

GLOBALNY ZASIĘG

FIRMA?

NAZWA?

OFERTA?

FIRMA?

NAZWA?

OFERTA?

TRANSLATIONS

BRILLIANT

KÄÄNNÖKSET

PARTNER

ÜBERSETZUNGEN

ok

翻译

TRADUCCIONES

noOk

FIRMA?

NAZWA?

OFERTA?

I WTEDY PRZYSZEDŁ MAJ, AGNIESZKA POZNAJE ANIĘ

I CO MYŚLISZ, ANIU, O MOIM POMYSŁE?

WCHODZĘ W TO, ALE NIE DŁATEGO, ŻE WIERZE, W TEN KONKRETNY BIZNES PLAN, TYLKO DŁATEGO, ŻE WIERZE W CIEBIE.

JEST ŚWIETNA

GDYBY TYLKO DAŁA SIĘ NAMÓWIC I DOŁĄCZYŁA DO NAS.

TO NIE BYŁ NAJLEPSZY W ŻYCIU MIKOŁAJ

NIE ROZUMIEM, MAMY ŚWIETNY ZESPÓŁ, PRODUKT, KTÓREGO POTRZEBUJĄ KLIENTI, DLACZEGO WIĘC NADAL NIE MAMY WYNIKÓW. CZY TO JA ROBIĘ COŚ NIE TAK?

ZAINSTALOWALIŚMY JUŻ WSZYSTKIE MODUŁY, SERWIS JEST GOTOWY NA PIERWSZEGO KLIENTA.

AGNIESZKO, INFORMATYCY DALI SYGNAŁ – CZAS NA MARKETING. BĘDIEMY PRAWDZIWIWMI BRILLIANT PARTNERS. JESTEM TEGO PEWNA.

10 PAŹDZIERNIKA 2012 PIERWSZY KLIENT

TYMCZASEM DO ZESPOŁU DOŁĄCZA...

CZEŚĆ, JESTEM AGNIESZKA BĘDĘ DLA WAS TŁUMACZYĆ Z JĘZYKA FRANCUSKIEGO!

TO PROSTE! NAJLEPSZY DYNAMICZNY ZESPÓŁ, OWOCOWE CZWARTKI, PORANNA JOGA, I ZERO FACETÓW W ZESPOLE.

ALE JAK JĄ PRZEKONAĆ, SKORO DOPIERO ZACZYNAMY?

A CO CI PODPOWIADA SERCE?

ROZNY RAPORT 2012

- 94 ZAMÓWIENIA.
- PRZETŁUMACZONO 85 STRON
- 240 REJESTRACJI W PANELU KLIENTA
- 27 TŁUMACZY
- JĘZYKI: ANGIELSKI, NIEMIECKI, WŁOSKI I FRANCUSKI
- SPRZEDAŻ - 1608 PLN

PLANY ROZWOJOWE

MI MÓWI, ABY TERAZ ZROBIĆ ANIOŁKA NA ŚNIEGU.

FAKTYCZNIE PRZYDAŁBY SIĘ JAKIŚ DOBRY ANIOŁ...

ZARAZ ZARAZ, WYPRASZAM SOBIE, JESTEM POWAŻNYM INWESTOREM Z SIECI ANIOŁÓW BIZNESU, A NIE JAKIMŚ GOŁYM KURDUPELEM, DO TEGO Z WIELKIM BRZUCHEM I MAŁĄ AUREOLKĄ!

PROSZĘ MI NIE ZABURZAĆ NARRACJI ANIOŁ BIZNESU POJAWI SIĘ NA KOLEJNEJ STRONIE I BĘDZIE MIAŁ BARDZO WIELKĄ AUREOLE.

NASTĘPNEGO DNIA... AKCJA DZIEJE SIĘ SZYBKO!

JESTEM JUŻ PRAWIE W SZCZECINIE, PREZENTACJA ZA PÓŁ GODZINY W SIEDZIBIE AMBER - WIESZ, TO CI ANIOŁOWIE BIZNESU, CO INWESTUJĄ W START-UPY...

TRZYMAMY ZA CIEBIE KCIUKI, NA PEWNO OCZARUJESZ JAKIEGOS ANIOŁA.

NA GÓRZE RÓŻE, NA DOLE FIOŁKI, A BRILLANT PARTNER POKOCHAJĄ DZIŚ ANIOŁKI.

I JUŻ PO CHWILI...

CZEŚĆ AGNIESZKO, CZAS NA TWOJĄ PREZENTACJĘ, PAMIĘTAJ, ŻE MASZ TYLKO 5 MINUT. POWODZENIA.

...I MAM NADZIEJĘ, ŻE DZIĘKI PAŃSTWU ZA 10 LAT SPOTKAMY SIĘ NA WSPANIAŁYCH URODZINACH BRILLANT PARTNER.

Brillant Partner

DLACZEGO JA NIE WPADŁEM NA TAKI POMYSŁ

NIEZŁA JEST TA... PREZENTACJA

ALE DLACZEGO TYLKO W KOMIKSIE? JA BYM WOŁAŁ NA PAŁY W CHAŁUPACH

MINĘŁO 604 800 SEKUND, ALBO TYDZIEŃ, JAK KTO WOLI...

KOSZTY

PRZYCHODY

CHYBA NIC Z TEGO NIE BĘDZIE, NIKT SIĘ NIE ODEZWAŁ PO SPOTKANIU - MUSZĘ POSZUKAĆ PLANU „B”, ALE PRZECIEŻ KONCZA MI SIĘ PIENIĄDZE.

TYMCZASEM W ZUPEŁNIE INNEJ CZASOPRZESTRZENI, CZYLI TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ I DOKŁADNIE 175,35 KM OD AGNIESZKI

CZEŚĆ KRYSZTIAN, MIŁO CIĘ SŁYSZEĆ. SZKODA ŻE CIĘ NIE BYŁO. WRZUCAM CI NA MAIL PREZENTACJĘ POZYTYWNIENIE ZAKRĘCONEJ I AMBITNEJ DZIEWCZYNY Z KOSZALINA. POWINNO CIĘ ZAINTERESOWAĆ. TY CHYBA LUBISZ TAKIE POMYSŁY.

TEŻ MIŁO CIĘ SŁYSZEĆ TOMKU, OCZYWIŚCIE RZUCIŁ OKIEM, ALE WĄTPIE, CZY WEJDĘ W NOWY BIZNES. MAM JESZCZE WIELE PRACY W HOME...

DROGA PANI RYSOWNIKI PRZYPOMINAM, ŻE MIAŁEM SIĘ POJAWIĆ JUŻ NA TEJ STRONIE JAKO ANIOŁ Z WIELKĄ AUREOLĄ, PRZESTAJE MI SIĘ PODOBAĆ TEN KOMIKS.

NIESPODZIEWANIE DLA WSZYSTKICH PREZENTACJA AGNIESZKI ZROBIŁA NA KRYSZTIANIE BARDZO DOBRE WRAŻENIE

BRZMI INTERESUJĄCO, ALE PRZECIEŻ TO ZAŁOŻYCIEL I WSPÓŁWŁAŚCICIEL HOMEPL. PODOBNO TO REKIN, ŻADEN ANIOŁ. TAKIE MAŁE BIZNESY TO ON POŻERA NA PODWIECZOREK NADZIANY FORSĄ I GOLONKĄ. NAWET NIE WIADOMO, JAK WYGLĄDA W INTERNECIE SA JAKIEŚ ZDJĘCIA, ALE TO NA PEWNO NIE ON. ZA PRZYSZYSTOJNY.

CHYBA MAMY JEDNAK INWESTORA!

MASZ NOWĄ WIADOMOŚĆ, DATA: 22.01.2013

OD: KRYSZTIAN
TEMAT: SZANOWNNA PANI,

JESTEM JEDNYM Z INWESTORÓW W SIECI AMBER. PONIEWAŻ NIE MOGŁEM BYĆ NA OSTATNIM SPOTKANIU PREZENTACYJNYM - PAN TOMASZ PRZEKAZAŁ MI TEASER I PREZENTACJĘ PAŃSTWA SPÓŁKI. TEMAT JEST CIEKAWY I JEŚLI NADAŁ AKTUALNY - Z CHĘCIĄ SPOTKAŁBYM SIĘ I POROZMAWIAŁ O POTENCJALNEJ INWESTYCJI.

PANIE KRYSZTIANIE, PROSZĘ GRZECZNIEJ BO INACZEAJ FAKTYCZNIE ZROBIE Z PANA MAŁEGO, ŁYSEGO GRUBASA. A PRZECIEŻ MA PAN TAK PIĘKNE WŁOSY.

ZGODNIE Z OBJĘTIWĄ RYSOWNICZKI NA TEJ STRONIE KRYSZTIAN ZAGRA GŁÓWNIĄ ROLĘ, I TAK, PO RAZ PIERWSZY 29 STYCZNIA 2013 R.

JEST PAN PEWNIEN SZEFIE, ŻE DOMINO DA SOBIE RADE? PRZECIEŻ TO DIABEŁ?

- OJ MARCINEK, MARCINEK, JAKIŚ TY GŁUPI, O TO WŁAŚNIE CHODZI, BO DIABEŁ TO PRZECIEŻ TEŻ ANIOŁ. NA PEWNO SIĘ DOGADAJĄ, A ZRESZTA JA JUŻ DZIŚ TROCHĘ WYPILEM.

MOŻE MÓJ POMYSŁ TEŻ JEST DO BANU?

JAK ROZUMIEM WASZ START-UP, TO POŁĄCZONE USŁUGI BUDOWLANE I EGZORCYZMOWANIA? TAK, TO BARDZO INTERESUJĄCE.

NA RAZIE JESTEM POD WRAŻENIEM SZYBKOŚCI DZIAŁANIA SERWISU - DZIŚ DAŁEM DO TŁUMACZENIA MAILA W RAMACH PAKIETU POWITALNEGO I SPOKOJNIE ZMIESCILIŚCIE SIĘ W GODZINIE. ALE PROSZĘ O DWA TYGODNIE DO NAMYSŁU. ZADZWOŃCIE...

MYŚLAŁEM, ŻE JEST STARSZA

MYŚLAŁAM, ŻE JEST MŁODSZY

ZADZWOŃ NI

NIE ZADZWOŃ NI

ZADZWOŃ NI

ZNOWU NIE ZADZWOŃ NI

PEWNIEN DZIŚ

ZNOWU NIC

TO JEST TEN DZIEŃ!

ALE ON MA SILNĄ PSYCHIKĘ

CZUJE ŻE DZIŚ ZADZWOŃ NI

ZARAZ BĘDĘ CAŁKIEM ŁYSY

JAK DZIŚ NIE ZADZWOŃ NI TO...

BUUUUUUUUUUU

WCALE NIE CZEKAŁ NA TEN TELEFON, ALE BYŁOBY MIŁO

MOŻE PODAŁAM ZŁY NUMER

CHRZANIĆ TO!

DWA DNI PRZED WALENTYNAMI W 2013 ROKU

DZIEŃ DOBRY PANIE KRYSZTIANIE, WIEM, ŻE MIAŁAM CZEKAĆ, ALE...

OCH, TO JUŻ MINĘŁY DWA TYGODNIE? OCZYWIŚCIE, ŻE JESTEM NA TAK I WCHODZĘ W TEN BIZNES.

WCHODZENIE TRWAŁO RÓWNE 4 MIESIĄCE. PO INTENSYWNYCH NEGOCJACJACH, BADAŃ I DUE DILIGENCE, UMOWA INWESTYCYJNA...

ŻYCIE

UMOWA INWESTYCYJNA

BLOG AGNIESZKI

DATA WPISU: 12.06.2013

PO ROKU EUFORII I ENTUZJAZMU, PORĄK, TRUDNYCH CHWIL I NIEPODDAWANIA SIĘ - UDAŁO SIĘ PRZEKONAĆ KRYSZTIANA DO UWIERZENIA W NASZ BIZNES. TRZEBA PAMIĘTAĆ, ŻE HISTORIA KRYSZTIANA I JEGO WSPÓLNIKÓW W HOMEPL BYŁA ZNANA NIE TYLKO W SZCZECINIE. GŁOŚNO MÓWIŁO SIĘ O TYM, JAKIM SUKCESEM BYŁ ICH POMYSŁ NA BIZNES I JAK UDAŁO IM SIĘ GO ZREALIZOWAĆ I SKUTECZNIE PRÓWADZIĆ PRZEZ PONAD 17 LAT.

31 GRUDNIA 2013

NASZ WSPÓLNY PIERWSZY ROK TO 1695 ZAMÓWIENI. PRZETŁUMACZYLIŚMY 2994 STRONY, MAMY PONAD 1800 REJESTRACJI W NASZYM PANELU, A SPRZEDAŻ PRZEBIŁA WARTOŚĆ 100 TYSIĘCY PLN!

Tłumaczów

TYMCZASEM W KRAKOWIE BŁYSKAWICZNIE ROŚNIE PEWNIEN KONKURENCYJNY START-UP TURBOTŁUMACZENIAPL - JUŻ PO KILKU MINUTACH OD STARTU ZDOBYLI PIERWSZEGO KLIENTA. PO 6 MIESIĄCACH, SERWIS MIAŁ NA KONCIE PONAD 1000 ZLECZEŃ. W ZESPÓLE SĄ SAMI POWAŻNI BIZNESMENI - PROFESJONALIŚCI W KAŻDYM CALU. DLA PRZYKŁADU ROBERT ODPOWIADA ZA DZIAŁ TECHNICZNY.

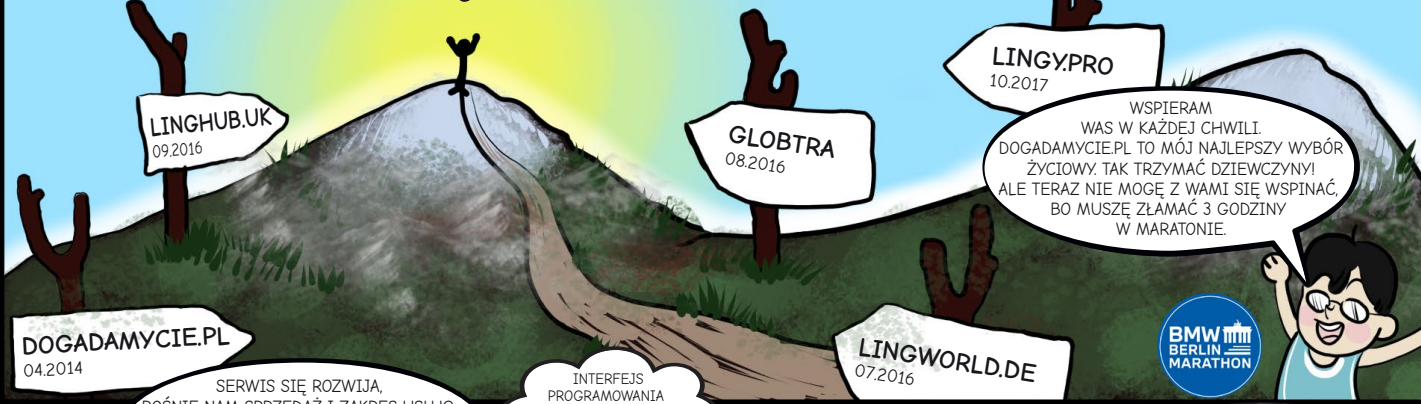
ZAŁOŻYMY SIĘ, ŻE TA TABLICA BĘDZIE WISIAŁA JUTRO W FIRMIE?

MUSZĘ PRZYRNAĆ, ŻE TA STRONA WYSZŁA CAŁKIEM ŚREDNIO*

GRATULACJE PANI RYSOWNICZKI!

*ŚREDNIO - CZYLI JAKIEŚ 30%, CZYLI ŚWIETNIE!

2014-2018 - SIĘGAMY PO SZCZYTY



DOGADAMYCIE.PL
04.2014

SERVIS SIĘ ROZWIJA, ROŚNIE NAM SPRZEDAŻ I ZAKRES USŁUG. ALE KONKURENCJA NAS GONI, DLATEGO MUSIMY IŚĆ DO PRZODU. PROPUJĘ JAK NAJSZYBCIEJ WDRÓŻYĆ APPLICATION PROGRAMMING INTERFACE*.

INTERFEJS PROGRAMOWANIA APLIKACJI - PIĘKNA NAZWA, TYLKO CO TO, DO CHOLERY, JEST.

POWINNISIŃMY TEŻ MYŚLEĆ O INTEGRACJI Z NARZĘDZIAMI CHMUROWYMI W TECHNOLOGIACH CAT*

NO, W KOŃCU DOBRY POMYSŁ I PROPUJĘ ZMIENIĆ NAZWE SERWISU. KTOŚ MOGŁBY POMYSLEĆ, ŻE ANI CHODZIŁO O COMPUTER-ASSISTED TRANSLATION, A NIE O MNIE. NIECH BĘDZIE MACIEMNIESLUCHAC.PL, OSTATECZNIE DOGADAMYCIE.PL

* DZIAŁA OD 2016 ROKU

ŚWIETNY POMYSŁ, A JA PROPUJĘ WPROWADZENIE NOWYCH JEZYKÓW TŁUMACZEŃ, CO POWIECIE NA AZERSKI, BOŚNIACKI, HEBRAJSKI CZY KOREAŃSKI? POWINNISIŃMY WYRÓŻNIĆ SIĘ NA RYNKU, JEŚLI MAMY BYĆ LIDEREM.

TYMCZASEM DO ZESPOŁU DOŁĄCZA ADAM, JAK NA HISTORYKA ŚWIETNIE RADZI SOBIE Z MATEMATYKĄ, DLATEGO ZOSTAJE SZEFEM SPRZEDAŻY.

A MOGŁEM ZOSTAĆ ARCHIWISTĄ W IPN.

27.06.2016 - PIERWSZY KLIENT NA RYNKU NIEMIECKIM - SRH HOCHSCHULE HEIDELBERG, UCZELNIA WYŻSZA

02.02.2017 - PIERWSZY KLIENT NA RYNKU BRITYJSKIM - ALLIANZ GLOBAL ASSISTANCE EUROPE Z BRANŻY UBEZPIECZENIOWEJ

17.01.2017 - HISTORYCZNY DZIEŃ NA POLSKIM RYNKU TŁUMACZEŃ. MARKI TURBOTŁUMACZENIA.PL I TURBOKOREKTA.PL STAŁY SIĘ CZĘŚCIĄ DOGADAMYCIE.PL. ZANIM DO TEGO DOSZŁO, OBIE STRONY CIĘŻKO PRACOWAŁY NAD SZCZEGÓŁAMI UMOWY.

Z TEJ STROMY AGNIESZKA Z DOGADAMYCIE.PL, UMOWA JEST GOTOWA, CZY WSZYSTKO JEST JASNE?

NIE ROZUMIEM, PRZECIĘŻ MY NIE KUPUJEMY ŻADNYCH ŚRODKÓW TRWAŁYCH, CZY COŚ PRZEOCZYŁAM?

EEEE, W SUMIE NIEWAŻNE

TAK, TAK WŁAŚNIE JĄ CZYTAM. PROSZĘ TYLKO WYKREŚLIĆ Z UMOWY ŚRODEK TRWAŁY, CZYLI TABLICZĘ Z NAPISEM „TŁUMACZÓW”. TO MOJA OSOBISTA PAMIĄTKA.

ZWRACAM UWAGĘ, ŻE WYPOMINANIE MARATONU W BERLINIE Z 2017 ROKU JEST WREDNE. ZABRAKŁO MI JEDYNIE 11 SEKUND DO ZŁAMANIA 3 GODZIN!



ZANIM KRYSZTIAN POKONA BARIERĘ 3 GODZIN, W DOGADAMYCIE.PL ZDARZYŁA SIĘ PRAWDZIWIWIE MAGICZNA PRZYGODA.

WIDZIAŁYŚCIE? SPADAJĄCA GWIAZDA! TO DOBRY ZNAK, POMYŚLMY SZYBKO ŻYCZENIE.

PIĘKNA! JA ŻYCZE SOBIE 251 ZDROWYCH SHAKE'ÓW W KAŻDYM ROKU. A TY AGNIESZKO?

NA SPEŁNIENIE MARZEŃ NIE TRZEBA BYŁO DŁUGO CZEKAĆ. PIERWSZE MIEJSCE W POLSCE I TRZECIE W EUROPIE WSCHODNIEJ W RANKINGU DELOITTE FAST 50 RISING STARS W 2017 ROKU. ALE I TAK NAJWAŻNIEJSZE, ŻE ANIA ROBI CODZIENNIE DO PRACY ZNAKOMITY SHAKE.

50/

CE Technology Fast 50- 'Rising Stars' category
dogadamyacie.pl Sp.zo.o.

KSIĘCIA Z BAJKI, A NAWET DWÓCH JUŻ MAMY ANIOŁ TAKŻE NA POKŁADZIE. I NIE CHCEMY CHYBA SPADAĆ, TYLKO SIĘ WZNOSIĆ - PRAWDA? WCHODZĄCA GWIAZDA, TO BYŁOBY COŚ!

CZY JAKO FIRMOWY HISTORYK MOGĘ PODSUMOWAĆ LATA 2017-2019 Z PUNKTU WIDZENIA SPRZEDAŻY?

DZIĘKUJĘ, TO JUŻ WYMIENIAM

2017 - 1. KLIENT NA RYNKU FRANCUSKIM

2018 - WCHODZIMY NA RYNKI WE WŁOSZECH, HISZPANII, AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

2019 - MAMY JUŻ PONAD 1000 TŁUMACZY Z 63 KRAJÓW ŚWIATA

MARATON HAMBURG 2019

CHYBA W KOŃCU KTOŚ Z DOGADAMYCIE.PL NA MNIE KIBICOWAŁ.

CZAS 2:59:24

2020 ROK BYŁ WYJĄTKOWY DLA ZESPOŁU DOGADAMYCIE.PL. PIERWSZY MIESIĄC POKAZAŁ, ŻE REKORDY STAŁY SIĘ NASZYM CHLEBEM POWSZEDNIM.



LAUREAT PARP – 28 MIEJSCE W PLEBISCYCIE NA 100 NAJLEPSZYCH PROJEKTÓW NA ZWIĘKSZENIE CYFRYZACJI W FIRMIE.



2020 R. - CERTYFIKAT PN EN ISO 17100:2015 DLA DOGADAMYCIE.PL



OD WRZEŚNIA 2020 ROKU DOGADAMYCIE.PL WSPIERA COMIESIĘCZNĄ DAROWIZNĄ AKCJĘ PAJACYK POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ.



ALE PAJACYK OKAZAŁ SIĘ TYLKO WSTĘPEM DO WIĘKSZEJ SPRAWY.



EDYCJA 1 – BIEG DLA HOSPICJUM IM. ŚW. MAKSYMILIANA KOLBEGO W KOSZALINIE. 7 MARCA 2021 R.

dogadamycie

EDYCJA 2 – BIEG DLA ZACHODNIOPOMORSKIEGO HOSPICJUM DLA DZIECI I DOROSŁYCH. 4 WRZEŚNIA 2021 R.

dogadamycie

EDYCJA 3 – BIEG NA POMOC DLA UKRAINY. 6 MARCA 2022 R.

#BiegiemNaPomoc

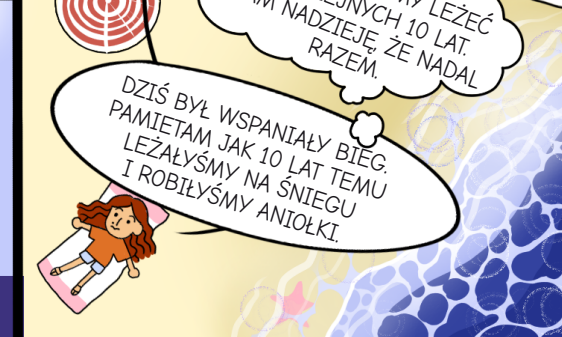
EDYCJA 4 – BIEG DLA ZACHODNIOPOMORSKIEGO HOSPICJUM DLA DZIECI I DOROSŁYCH. 12 CZERWCA 2022 R.

dogadamycie

#BiegiemNaPomoc



ODPOWIEŹ NIKOGO SPECJALNIE NIE ZASKOCZYŁA ABY SKUTECZNIE POMAGAĆ I POMAGAĆ



NASTĘPNE DEKADY BYŁY OCZYWIŚCIE BARDZO CIEKAWE, FIRMA ZDOBYŁA KOLEJNE RYNKI, WDROŻYŁA NOWE NARZĘDZIA ITD. KASA TEŻ SIĘ ZGADZAŁA. ALE DOPIERO W 2122 ROKU WYDARZYŁO SIĘ COŚ NAPRAWDĘ GODNEGO UWAGI. PODCZAS KOLONIZACJI MARSA ODKRYTO CYWILIZACJĘ OBCYCH, KTÓRZY ODROBINĘ SIĘ ZDENERWOWALI OBECNOŚCIĄ ZIEMIANY. WSZELKIE PRÓBY KONTAKTU OKAZAŁY SIĘ NIEUDANE, DLATEGO Z MISJĄ DOGADANIA SIĘ Z UFOLUDKAMI WYSŁANO NAJWYBITNIEJSZĄ GRUPĘ ZIEMSKICH EKSPERTÓW – ZARÓWNO LUDZI, JAK I ANDROIDY. WYPRAWĄ KIERUJE PRAWNUCZKA PIERWSZEJ PREZYDENT UNII ZIEMSKIEJ, WYBITNA ACH007, A POMAGA JEJ HUMANOIDALNY ROBOT, MODEL 3KS, NASTĘPCA SŁYNNEGO 3PO. WIDZIMY AKTUALNĄ TRANSMISJĘ, 5 MINUT PO LĄDOWANIU.



W JĘZYKU MARSJAŃSKIM ZAMIAST SŁÓW UŻYWAMY CAŁUSKÓW. POKAŻMY KTO JEST MISTRZEM W CMOKANIU.

NIE WIDZĘ TU ŻADNYCH MARSJAN, MUSZĘ CHYBA UŻYĆ MOJEGO SUPERLOKALIZATORA.

CHODZI CI O TEN FIKUŚNY KOCZEK Z TYŁU GŁOWY? NIE WIEDZIAŁEM, ŻE TO LOKALIZATOR. MYŚLAŁEM, ŻE TO NOWA MODA.

TROCHĘ TU POZAMIATAM I JESZCZE JAKBY MOŻNA BYŁO WYŁĄCZYĆ „ŚPIEW PTASZKÓW” W ZOLPERZE.

TO NIE JEST ŻADEN KOCZEK!!! TO NAJNOWSZY MODEL SKANERA. MARNY Z CIEBIE POŻYTEK, MOJA PRABABCIA TO MIAŁA PRAWDZIWYCH DORADCÓW! SZKODA, ŻE JUŻ WYGINĘLI.

JESZCZE RAZ WSPOMNI SŁOWO KOCZEK, TO KAŻĘ GO PRZEROBIEĆ NA PODPÓRKI DO MÓZGU Z PAMIĘCIĄ TŁUMACZENIOWĄ.

ZROBIŁAM CI PYSZNEGO SHAKE'A ZE ŚWIEŻEGO TOWOTU Z KULKAMI ŁOŻYSKOWYMI. POŻYWNY I ZDROWY.

NIE MA JAK MARKETING. WŁAŚNIE WYMYŚLIŁEM NOWĄ STRATEGIĘ SPRZEDAŻY I HASŁO „PAMPERSÓW U NAS NIE MA, ALE SĄ SZTUCZNE SZCZĘKI!”

GENIALNE! ALE MÓJ „BRYLANTOWY ROSÓŁ” TEŻ UWAŻAM ZA ŚWIETNY POMYSŁ.

JESTEŚMY ZDECYDOWANIE NAJBARDZIEJ ZAPRACOWANYM DZIAŁEM!

JA JESTEM SPECJALISTĄ OD BUSINESS DEVELOPMENT, A NIE OD NAPRAWY SPRZĘTU. MOŻE KTOŚ TO W KOŃCU ZAUWAŻY!

DASZ RADĘ RO-36! MOŻE PO PROSTU TRZEBA ZRESTAUROWAĆ KOMPUTER POKŁADOWY?



Rozdział 3

Okiem specja, czyli
wyjaśnijmy sobie,
o co w tym wszystkim
chodzi i dlaczego człowiek
jest tak ważny

Jak działa dogadamycie.pl

Poświadczony tłumaczenie z języka szwedzkiego na polski – dokładnie 10 października 2012 roku o godzinie 23.08 – jedna z kancelarii radcowskich z Gdyni została pierwszym klientem serwisu brilliantpartner.com. Dla założonej przez Agnieszkę małej firmy z Koszalina ten dzień był początkiem emocjonującej przygody, która trwa już 10 lat. Pierwsze zlecenie było dla serwisu sprawdzianem, czy wszystkie narzędzia zostały właściwie wdrożone, czy system nie ma jakichś słabych punktów. Dziś jako dogadamycie.pl jesteśmy w pełni innej rzeczywistości, a że technologie teleinformatyczne nieustannie się zmieniają, to zmieniamy się także i my. Obsługujemy kilkaset zleceń dziennie, co oznacza około 100 tysięcy przetłumaczonych słów każdego dnia. Mamy kilkudziesięcioosobowy zespół – co ważne – zmieniliśmy nie tylko nazwę, ale również technologię. Wdrożyliśmy narzędzia do pracy w chmurze, interfejs programowania aplikacji (API) i metodykę zwinną w pracy nad projektami technologicznymi (SCRUM). Technologia to jednak nie wszystko. dogadamycie.pl opiera swe działanie na ścisłej współpracy klienta, tłumaczy i całego zespołu. Warto zauważyć, że nasza filozofia i podstawowa zasada działania są dokładnie takie same, jak w połowie 2012 roku, gdy przyjeśliśmy do tłumaczenia pierwszy dokument w języku szwedzkim.

Nasza misja

Celem serwisu brilliantpartner.com, a później dogadamycie.pl, od zawsze była pomoc klientowi. Można to zrozumieć w sposób bardzo dosłowny. Klient zgłasza się do nas, bo potrzebuje tłumaczenia. Zespół znajduje odpowiedniego tłumacza, przekazuje mu plik od klienta, po czym weryfikuje, czy tłumaczenie zostało zrealizowane i przekazane klientowi we wskazanym terminie. Klient uzyskał niezbędną pomoc, a jego potrzeba została zaspokojona. Na tym kończy się nasza praca. W innych firmach może rzeczywiście tak jest, dla zespołu dogadamycie.pl „pomoc klientowi” oznacza jednak dużo więcej. Przede wszystkim doskonale rozumiemy, że każde tłumaczenie ma swoje przeznaczenie i wiąże się z konkretną sytuacją, w jakiej znalazł się nasz klient. Być może właśnie prowadzi w sądzie batalię z nieuczciwym dostawcą lub walczy o dzieci, może stan jego zdrowia lub zdrowia jego najbliższych bardzo się pogorszył i musi przeprowadzić kolejną konsultację lekarską, a może w jego dotychczasowym miejscu zamieszkania, w jego „domu” trwa wojna i musiał uciekać do innego państwa, ratując siebie i rodzinę... Takich historii jest wiele, spotykamy się z nimi na co dzień. Dlatego rozumiemy, że od czasu realizacji tłumaczenia i jego jakości może zależeć czyjeś życie. A w przypadku firm – nowy kontrakt, nawiązanie współpra-

cy czy utrzymanie się na rynku. Każdego klienta traktujemy zatem indywidualnie, z należytą uwagą, szacunkiem i zaangażowaniem. Zwykle „chcemy pomóc”. Zdarzają się również sytuacje trudne, w których pomoc potrzebna jest niezwłocznie. Kiedy dzwoni klient i prosi o tłumaczenie historii leczenia dziecka, którego stan pogorszył się tak bardzo, że niezbędna jest natychmiastowa operacja. Mamy tylko kilka godzin. W takich sytuacjach nigdy się nie podajemy, wręcz przeciwnie następuje pełna mobilizacja. Łapiemy za telefony i dokonujemy niemożliwego. Tak właśnie działa dogadamycie.pl. Sprzedaż i zysk są dla nas ważne, ale najważniejsi są ludzie.

Tłumacz w dogadamycie.pl

Tłumacz i jego praca są jednym z najważniejszych elementów dogadamycie.pl. Tłumacz bierze czynny udział w całym procesie – od przyjęcia tłumaczenia, potwierdzenia terminu realizacji, wynagrodzenia i sposobu pracy, do oceny jakości wykonanego tłumaczenia – zasada „dwóch par oczu”. Tłumacz jest samodzielny w swoich decyzjach, ale świadomy kolejnych etapów współtworzenia dzieła końcowego. Realizując tłumaczenie musi brać pod uwagę wytyczne przekazane przez klienta i nasz zespół, pozostawać w ciągłej komunikacji z nami. Ten schemat odbiega zdecydowanie od stereotypu tłumacza freelancera, pracującego w odosobnieniu, ze wsparciem „papierowych” słowników,

bez możliwości wsparcia całej grupy osób, które pracują w naszych projektach.

Co ważne, każdy tłumacz współpracujący z dogadamycie.pl posiada odpowiednie kwalifikacje, wynikające z normy ISO 17100. Poziom jego pracy i jakość świadczonych usług są systematycznie sprawdzane przez zespół dogadamycie.pl, a także innych tłumaczy – we-

Jak tłumaczymy twoje teksty – co widzi klient

Jeszcze kilkanaście lat temu uzyskanie tłumaczenia wymagało osobistej wizyty w biurze. Klient musiał przygotować dokumenty lub teksty do tłumaczenia, znaleźć adres biura tłumacza, dostosować się do godzin jego urzędowania i obowiązujących kolejek. Dla mieszkańców dużych miast mogło to stanowić duże utrudnienie. W przypadku małych miasteczek, w których takich biur zwyczajnie nie było, uzyskanie tłumaczenia stawało się niemożliwie lub wymagało poświęcenia mnóstwa czasu na wizytę w większym mieście. Pomysł na świadczenie usług tłumaczeniowych w sklepie internetowym wydawał się zatem strzałem w dziesiątkę. Wystarczyło usiąść przed komputerem i wysłać zlecenie przez formularz. Bez wychodzenia z domu, kolejek, tracenia czasu i długiego oczekiwania na gotowe tłumaczenie. Klienci okazali się jednak bardziej sceptyczni, niż zakładało brilliantpartner.com. Mimo zainwestowania ogromnego kapitału w technologię dostosowaną do potrzeb klienta, ponosiło straty, bo klienta zwyczajnie nie było.

Z czasem jednak sytuacja zaczęła się zmieniać, a klientów przybywało. Branża tłumaczeniowa zaczęła przechodzić rewolucję, zarówno pod względem technologicznym, jak i mentalnym. Klienci uwierzyli, że nie muszą mieć osobistego kontaktu z tłumaczem, aby otrzymać pełnowartościowe i profesjonalne tłumaczenie. Nadal jest wielu sceptyków, którym wydaje się, że tłumaczenie przez Internet wykonywane jest maszynowo, jako masowa „produkcja”. Systematycznie są jednak wyprowadzani z błędu, dzięki wysokiej jakości tłumaczeniom, których autorami są wyszkoleni w tym kierunku ludzie.



ryfikatorów i korektorów. Bardzo ważne są dla nas opinie naszych klientów, którzy mogą oceniać otrzymane tłumaczenia. Dzięki przekazanym ocenom i uwagom wiemy, że nasi tłumacze to profesjonaliści, traktujący klientów i ich zlecenia z należytym zaangażowaniem.



Czy wiesz, że na stronach dogadamy.pl i turbotlumaczenia.pl prowadzimy blogi tematyczne, w których piszemy o najciekawszych i najważniejszych aspektach tłumaczeń i pracy tłumacza? Mamy też kanał na YouTube i Spotify.

Zespół dogadamy.pl

Zespół dogadamy.pl składa się z kilkudziesięciu osób, odpowiedzialnych za różne aspekty

działalności firmy. Z punktu widzenia klienta, najważniejszym elementem jest dział obsługi, który zajmuje się zleceniami. W jego skład wchodzi grupa wyspecjalizowanych project managerów, posiadających wiedzę i umiejętności branżowe oraz umiejętność kontaktu z klientem. Grupa ta ściśle współpracuje również z tłumaczami i koordynuje ich pracę.

Obok project managerów w skład zespołu dogadamy.pl wchodzi dział obsługi klienta, wsparcia technicznego, marketingu oraz Business Development, których praca jest często niezauważalna dla klienta. Bez nich jednak zrealizowanie żadnego zlecenia nie byłoby możliwe. To właśnie te osoby odpowiadają za zatrudnienie tłumaczy i koordynowanie ich uprawnień,



wdrażanie nowych technologii i poprawność działania dotychczasowych, pozyskiwanie nowych klientów, w tym również zagranicznych, a także badanie i utrzymywanie pozycji rynkowej firmy. Mówiąc w skrócie, bez nich firma nie mogłaby istnieć.



Brilliant Partner



Jak klient zleca wykonanie tłumaczenia w dogadamy.pl?

Bardzo prosto – wypełnia formularz na stronie dogadamy.pl, załącza plik, skan lub zdjęcie dokumentu, który po wycenie i akceptacji zostaje przetłumaczony. Może również skontaktować się bezpośrednio z działem obsługi, wysyłając wiadomość na wskazanie na naszych stronach www adresu. Co ważne, klient może zamówić zlecenie 24 godziny na dobę przez 7 dni w tygodniu. I na tym rola klienta się kończy. Przekazaniem zlecenia tłumaczowi, koordynowaniem jego pracy i odesłaniem gotowego tłumaczenia zajmujemy się my. Skany tłumaczenia trafiają błyskawicznie na adres mailowy klienta, a oryginały, jeżeli trzeba, dosyłane są pocztą. Szybko, sprawnie, bezproblemowo, bez zbędnej straty czasu i energii, co nasi klienci bardzo doceniają. Widać to chociażby po komentarzach, które dostajemy w mailach lub jako wystawione przez klientów oceny:

Agnieszka

Bardzo dziękujemy za rzetelność i profesjonalizm

Anna

Dziękuję bardzo, jesteście naprawdę niesamowici. Pozdrawiam serdecznie:)

Emilia

Dziękuję bardzo Państwu za pomoc, jesteście najlepsi:)

Jan

Dzień dobry! Bardzo dziękuję za szybką obsługę i rzeczywiście turbo szybkie tłumaczenia:)

Michał

Super, bardzo dziękuję za sprawną i skuteczną komunikację – takie firmy lubimy:)

Maciej

Super. Dziękuję serdecznie. Mega szybka realizacja. Jestem tu pierwszy raz, ale na pewno wrócę.

Katarzyna

Super, sprawnie, szybko i bez żadnych problemów i na dodatek tanio!

Krzysztof

ooooo jak szybko! Dziękuję ślicznie! Naprawdę super!

Renata

BARDZO DZIĘKUJĘ! Bardzo doceniam i zapamiętam na Amen:)

Ewa

Dziękuję za super szybki i profesjonalny serwis. Pan Michał był bardzo pomocny.

Iwona

Dziękuję Państwu serdecznie za szybką i fachową pracę, jeszcze raz ślicznie dziękuję.



Słowo o tłumaczeniach poświadczonych

Akt małżeństwa, wyrok sądu, dyplom ukończenia studiów, dowód rejestracyjny samochodu kupionego za granicą, zaświadczenia z urzędów – lista dokumentów poświadczonych (potocznie nazywanych przysięgłymi) jest bardzo długa i większość z nas miała okazję zetknąć się z przetłumaczonym piśmem z charakterystyczną okrągłą pieczęcią. W dogadamy.pl od początku specjalizowaliśmy się w tłumaczeniach pism procesowych, urzędowych i uwierzytelnianiu obcojęzycznych odpisów formalnych dokumentów.

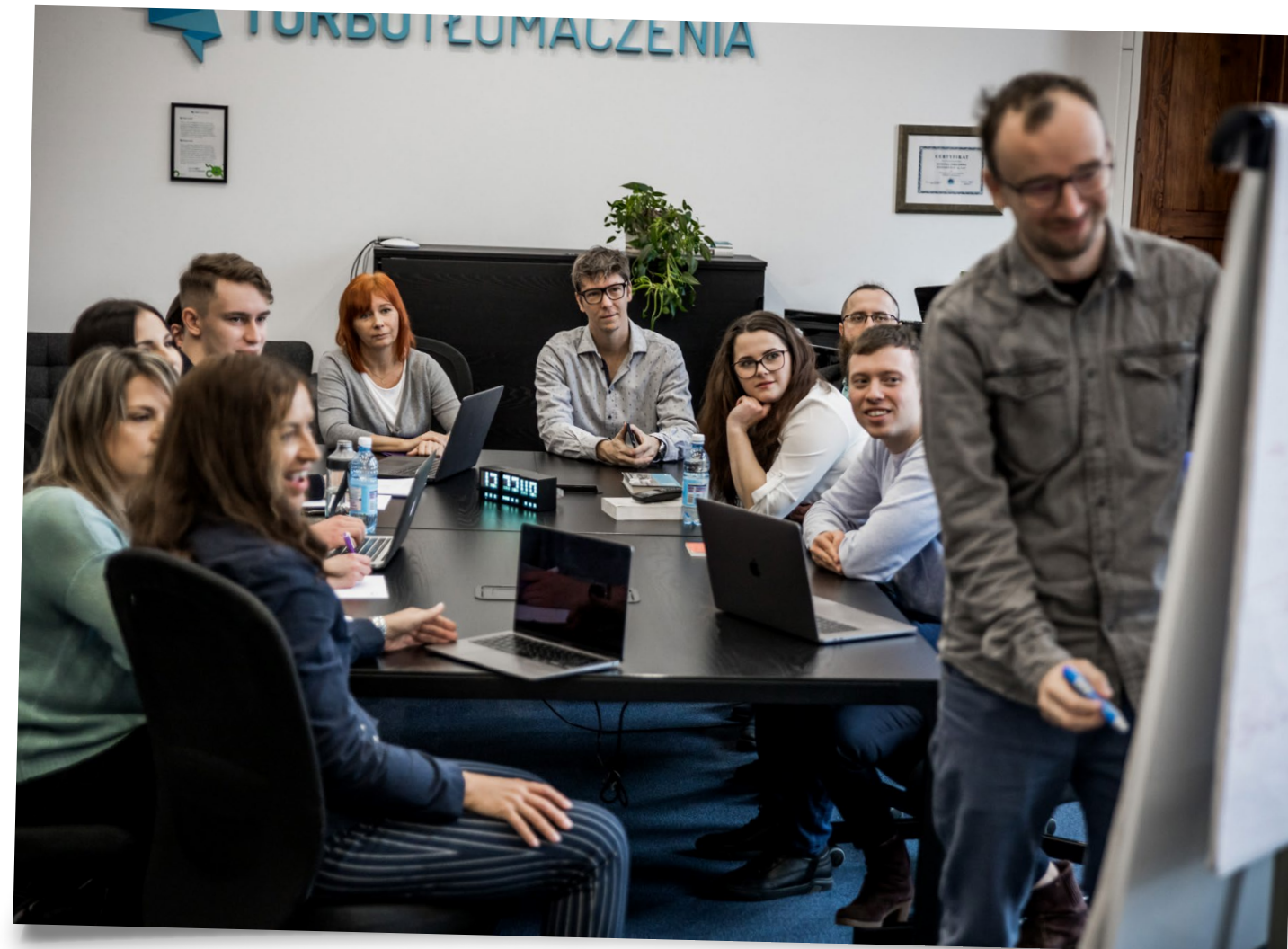
Tłumacze przysięgli mogą być także potrzebni przy niektórych tłumaczeniach ustnych. Ślub (lub rozwód) z obcokrajowcem niemówiącym po polsku, przesłuchanie w prokuraturze lub na policji, podpisanie umowy u notariusza – takie sytuacje wymagają obecności osoby z właściwymi uprawnieniami. Tłumacz przysięgły jest niezbędny przy odczytywaniu wyroków sądu, aktów notarialnych, w postępowaniach prowadzonych przez organy administracji publicznej.

Kilka ciekawostek o tłumaczeniach poświadczonych

Prawidłowa, ustawowa nazwa to „tłumaczenie poświadczone”. Czasem spotyka się również określenie „uwierzytelnione”. Realizuje je natomiast tłumacz „przysięgły”.

Regulacje dotyczące potwierdzenia zgodności z oryginałem tłumaczonych dokumentów różnią się, w zależności od kraju. W większości krajów anglojęzycznych nie ma instytucji tłumacza przysięgłego. Jednak wszystkie osoby, które chcą zawodowo trudnić się przekładem ustnym lub piśmym, muszą posiadać odpowiednie kwalifikacje i otrzymać akredytację organizacji zrzeszającej tłumaczy. W krajach europejskich, takich jak Niemcy, Belgia, Dania, Francja czy Holandia tłumaczenia poświadczone mogą być wykonywane jedynie przez tłumaczy przysięgłych. W odróżnieniu od Litwy i Łotwy, w których tłumaczenia urzędowe wykonują biura tłumaczeń i/lub notariusz. Szczególną cechą fizyczną tłumaczenia poświadczonego jest podpis i osobista pieczęć przystawiona pod poświadczeniem o prawdziwości i poprawności tłumaczenia.

Tłumacz przysięgły składa wobec Ministra Sprawiedliwości ślubowanie według następującej roty: „Mając świadomość znaczenia moich słów i odpowiedzialności przed prawem, przyrzekam uroczyście, że powierzone mi zadania tłumacza przysięgłego będę wykonywać sumiennie i bezstronnie, dochowując tajemnicy prawnie chronionej oraz kierując się w swoim postępowaniu uczciwością i etyką zawodową”.



Proces i znaczenie transkreacji

Są takie słowa, zdania, a nawet całe długie teksty, których nie sposób dosłownie przetłumaczyć. Gra słów w tytułach książek, dowcipy, poezja, kultowe dialogi z filmów. Czasami najlepiej dla oryginału byłoby, aby pozostał nieprzetłumaczony. Tłumaczenia kreatywne to prawdziwe wyzwanie i czasami kończy się spektakularną porażką. Absolutnym klasykiem i przykładem tego, jak nie powinien być tłumaczony anglojęzyczny tytuł, jest *Die Hard* – a w polskiej wersji *Szklana pułapka*. W pierwszej części rzeczywiście mógł oddawać treść, bo zakładnicy byli uwięzieni w „szklanym” wieżowcu. Jednak, kiedy pojawiały się kolejne części, polski dystrybutor zaczął po prostu dodawać kolejne numery do tytułu, który nijak miał się do treści na ekranie.

Wyjaśniamy, aby się nie kojarzyło

Transkreacja (czyli połączenia dwóch słów: „translation” oraz „creation”) związana jest nieodłącznie z lokalizacją, czyli dostosowaniem do określonego rynku. Z tego powodu tłumacz zajmujący się transkreacją, powinien wykazywać cechy potwierdzające kompetencje kulturowe, czyli wiedzę o społeczeństwie wraz z jego wartościami, zachowaniami, językiem. Są to niezbędne elementy, które umożliwiają całościowe zrozumienie przekładanego tekstu, jednocześnie ułatwiające przekazanie treści przeznaczonych dla odbiorcy. Doskonałym przykładem jest „gest

Kozakiewicza”, powiedzenie „sorry, taki mamy klimat”, lub mickiewiczowski cytat: „ciemno wszędzie, głucho wszędzie”.

Tworząc na przykład postaci filmowe należy pamiętać, że ich wygląd, osobowość, język, jakim się posługują, muszą wpisywać się w narodowy charakter. Właściwie skonstruowana postać to taka, której zachowanie czy wypowiedzi nie pozostawiają niedomówień chyba, że jej twórcom zależy na zbudowaniu właśnie takiej wieloznaczności jako chwytu reklamowego. Dobrym przykładem może być postać Shreka z filmu o tym samym tytule.

„Mamę w łóżku zdybał, a że ładna taka, nie czekając dłużej, pokazał jej ptaka”.

Serio? W oryginale było przecież „For mommy a kiss and a good Christmas goose”!

Na ilustracji kadr z filmu *Pada Shrek*. Źródło: materiały dystrybutora.



Narzędzia CAT – przyspieszenie pracy tłumacza

Czym są narzędzia typu CAT? Z języka angielskiego oznacza to tyle, co „tłumaczenie wspomagane maszynowo”. Są więc to narzędzia, które oferują techniczne rozwiązania usprawniające pracę tłumacza, ale nie zastępujące jego umiejętności i wiedzy. Dlatego też nie należy ich mylić z translatorami, które automatycznie tłumaczą tekst, nie uwzględniając różnic językowych, kontekstu czy metaforyczności wypowiedzi.

Najczęściej narzędzia CAT utożsamia się z programami komputerowymi, które wspomagają proces tłumaczenia. Jednak pojęcie to jest nieco szersze i oprócz wspomnianych programów dotyczy szeregu innych rozwiązań – funkcji sprawdzania pisowni i gramatyki, słowników elektronicznych, tworzonych przez tłumacza glosariuszy, baz terminologicznych czy programów do zarządzania projektami, które usprawniają pracę i podział obowiązków przy większej ilości zleceń.

Co jest jednak najistotniejsze – programy dla tłumaczy zazwyczaj mają możliwość tworzenia pamięci tłumaczeniowych, zwanych w skrócie TM (z angielskiego Translation Memory), a więc rodzaju bazy danych, która zawiera zarówno segmenty w języku źródłowym, jak i docelowym. Występuje ona najczęściej w postaci poje-

dynczego lub kilku plików, obsługiwanych przez dany program do tłumaczeń. Najpopularniejszymi i najbardziej uniwersalnymi formatami takiej bazy danych jest .tmx i .txt.

Neuronowe tłumaczenia maszynowe

Neuronowe tłumaczenia maszynowe wykorzystują proces bardzo głębokiego uczenia (deep learning), aby uzyskać przekłady wysokiej jakości. Czym się różni od zwykłego tłuma-



czenia maszynowego? NMT popełnia aż o 60% mniej błędów, najlepiej radząc sobie tam, gdzie istnieje zjawisko powtarzalności. Silniki tłumaczenia maszynowego są coraz doskonalsze i z pewnością zdominują przyszłość branży tłumaczeniowej. Jednak mimo swojej wydajności, inteligencji, zdolności budowania coraz lepszych kontekstów, nie są w stanie zastąpić człowieka w pełni. Jakość tłumaczenia maszynowego może i jest wysoka, ale najwyższa będzie tylko wtedy, kiedy zostanie zredagowana przez tłumacza. Z tym wiąże się proces postedycji.

Znacznie postedycji, czy człowiek jest ważny?

Pierwszy typ to podstawowa postedycja (light postediting). Skupia się na takim poprawieniu tekstów uzyskanych z tłumaczenia maszynowego, aby stał się on w pełni zrozumiały. Uwzględnia sprawdzenie, czy program prawidłowo przełożył tekst z języka źródłowego na docelowy, a także podstawowe poprawienie gramatyki, interpunkcji i widocznych „gołym okiem” błędów.

Postedycja tłumaczeń maszynowych drugiego rodzaju to pełna postedycja (full postediting). Ma za zadanie wypracowanie formy przekładu wykonanego przez tłumacza. Wymaga więc niekiedy gruntownego przerezagowania treści i dogłębnego sprawdzenia użytej terminologii. Zadaniem postedytora – tłumacza specjalizują-

cego się w postedycji tłumaczeń maszynowych – jest oddanie charakteru i ładunku emocjonalnego oryginału, dbając przy tym o jak najwyższą jakość przekładu.

Odpowiadając zatem na powyższe pytanie, człowiek jest najważniejszy w całym procesie tłumaczenia. Narzędzia pozwalają tłumaczowi na szybsze tłumaczenie, dostosowanie używanej terminologii do wymagań klienta czy sprawdzanie poprawności gramatycznej. Bez jego wiedzy i umiejętności językowych nadal będą to jednak tłumaczenia wykonane przez maszyny, które nie potrafią stworzyć jednolitych, spójnych logicznie i stylistycznie dokumentów. Maszyna lub sztuczna inteligencja nie potrafi zrozumieć kontekstów kulturowych, przyjętych haseł, związków frazeologicznych czy powiedzeń. I z całą pewnością nie przekaze jakichkolwiek emocji. Dlatego w dogadamy.pl zawsze stawiamy na tłumacza – człowieka, który tworzy tłumaczenia na podstawie wiedzy i doświadczenia. Człowieka, który pracuje wspomagany nowoczesną technologią.

Technologie CAT istnieją od czasów zimnej wojny. Służby wywiadowcze Rosji i Stanów Zjednoczonych wydały znaczną sumę pieniędzy na stworzenie technologii, która mogłaby automatyzować proces tłumaczenia ogromnych ilości informacji. Jednymi z pierwszych narzędzi CAT były Systran (tłumacz systemowy) i TSS (system wspomagania tłumaczeń).



Tłumaczenia materiałów technicznych – narzędzia, kompetencje, pułapki

Termin „techniczne” odnosi się do wszystkich dziedzin, w których stosowana jest określona terminologia. Dlatego w przypadku tekstów specjalistycznych tłumacze muszą nie tylko świetnie znać język, ale także posiadać konkretną wiedzę branżową. W obszarach nauki, techniki, prawa i medycyny pracują tłumacze, którzy doskonale władają wysoce specjalistyczną terminologią, specyficzną dla danej, często wąskiej dziedziny wiedzy.

Zawiłości tłumaczeń medycznych

Tłumaczenia medyczne, farmaceutyczne wymagają szczególnej precyzji i rygoru. Tu nie ma miejsca na pomyłki, improwizację, uogólnienia czy skróty myślowe. Ekspert musi nie tylko znać oba języki, ale niezbędna jest także zaawansowana wiedza z zakresu nauk ścisłych, farmacji i terminologii medycznej. Co ważne – tłumacz z zakresu farmakologii niekoniecznie poradzi sobie z tekstem dotyczącym biotechnologii. A przecież są jeszcze: onkologia, medycyna kosmetyczna, zabiegi chirurgiczne, analiza laboratoryjna, urządzenia medyczne, opieka, biotechnologia, badania...

Niezależnie od tego, czy tłumacz pracuje nad wynikami badań, raportem medycznym, wypisem ze szpitala czy protokołem badania kli-

nicznego, musi posiadać musi posiadać wysokie i stale doskonalone umiejętności językowe. Często konieczne są konsultacje z ekspertami, lekarzami w danej specjalizacji po to, aby wykonane tłumaczenie było zgodne z używanym w danej dziedzinie medycyny słownictwem.

Słowo o tłumaczeniach prawniczych

To grupa tłumaczeń wszelkich dokumentów, które mają ważny status prawny: umowy, orzeczenia sądowe, akty prawne, patenty, regulaminy, teksty ustaw itp. Sednem tej dyscypliny jest równoważność: nie chodzi o stworzenie tekstu docelowego, który byłby identyczny językowo z tekstem wyjściowym, ale o transfer równoważności prawnej, czyli przeniesienie do tekstu docelowego skutku prawnego zamierzonego przez tekst źródłowy. Dlatego zagadnienia związane z jakością tłumaczenia prawniczego są tak ważne. Konsekwencje błędnego lub niedokładnego tłumaczenia, które nie wywoła takiego samego skutku prawnego, mogą okazać się poważne. Umorzenie lub odrzucenie postępowania sądowego, unieważnienie transakcji handlowych, naruszenie dobrego imienia firmy, może też być bardzo, ale to bardzo kosztowne.



Szokująca Azja, fascynująca Afryka, nieznana Ameryka – tłumaczenia języków pozaeuropejskich

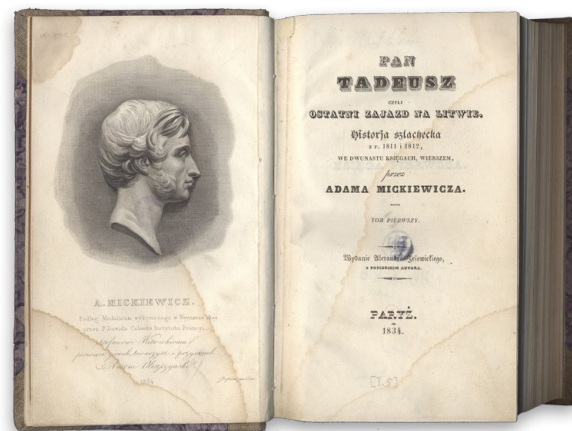
Według rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości, które określa wynagrodzenie za czynności tłumacza przysięgłego, wyróżnia się cztery grupy językowe. Pierwsze dwie to najbardziej popularne języki: angielski, niemiecki, rosyjski, francuski oraz pozostałe języki europejskie, a także łacina. Trzecia grupa językowa obejmuje wszystkie języki pozaeuropejskie wykorzystujące alfabet łaciński. Najciekawsza – i najtrudniejsza do tłumaczenia – jest czwarta grupa, która zawiera inne języki pozaeuropejskie, które posługują się alfabetem niełacińskim lub też ideogramami.

A ile jest w ogóle języków na świecie? Według współczesnych językoznawców ta liczba przekracza 7000, nie licząc dialektów! Co ciekawe, przeważająca część języków świata pozostaje w formie bezpiecznej i szacuje się, że do 2100 roku ponad połowa stanie się językami martwymi, które odejść do historii wraz z ludźmi, którzy ich używają na co dzień. Tłumaczenia z języków rzadkich są prawdziwym wyzwaniem, szczególnie gdy dotyczą materiałów specjalistycznych. Przetłumaczenie skanu dokumentacji techniczno-ruchowej sterowanej numerycznie obrabiarki, gdy dysponujemy jedynie skanem

oryginału w języku koreańskim, może być wyjątkowo trudne i często wymaga współpracy kilku specjalistów, czasami z zupełnie różnych dziedzin.

„Litaoan uotedzukło”, czyli **Pan Tadeusz po chińsku**

Pan Tadeusz ma 68 682 słów – w dogadamyście.pl to mniej więcej dzienna liczba przetłumaczonych słów dla naszych klientów. A gdyby tak przetłumaczyć *Pana Tadeusza* na wszystkie języki świata? Albo choćby na mandaryński, którym posługuje się grubo ponad miliard ludzi na świecie. Brzmi jak



zadanie niewykonalne, bo trzeba pamiętać, że udany przekład literacki prozy wymaga nie tylko doskonałego warsztatu i wyczucia językowego, ale także – a może przede wszystkim – odrobiny sztuki. Poezja, której tłumaczeniem często zajmują się poeci, jest jeszcze bardziej wymagająca, a poemat naszego narodowego wieszcza z racji objętości i formy (trzynastozgłoskowy aleksandryn polski) wydaje się trudny do przełożenia nawet dla języków słowiańskich. Okonała tego Yi Li-jun, profesor języka polskiego na uniwersytecie w Pekinie. Zajęło jej to 15 lat. Pierwsze wydanie *Pana Tadeusza* po chińsku ukazało się w 2005 roku w 2 tys. egzemplarzy. Pierwsze zdanie inwokacji: „Litwo, ojczyzno moja...” po chińsku brzmi fonetycznie mniej więcej tak: „Litaoan uotedzukło...”.

Czy wiesz, kto przypawił rogi Mojżeszowi?

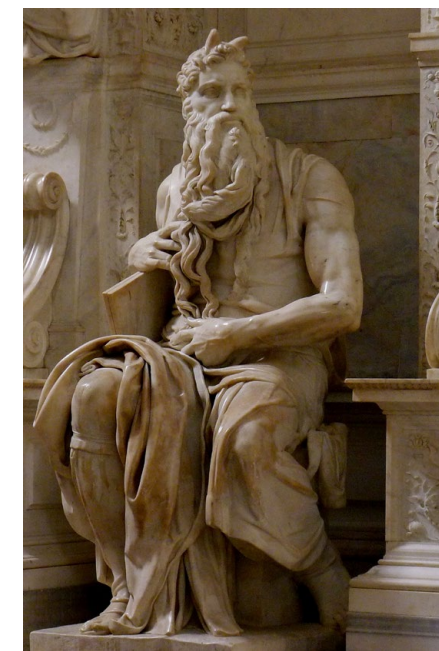
Św. Hieronim ze Strydonu, w pierwszym łacińskim przekładzie Biblii, zwanym Wulgatą, zapisał interesujące zdanie:

„Gdy Mojżesz schodził z góry Synaj, trzymał dwie tablice świadectwa i nie wiedział, że twarz jego była rogata w wyniku rozmowy z Bogiem”.

Nie wiadomo, czy Hieronim był znużony pracą, czy akurat nie znał innego znaczenia hebrajskiego słowa „qaran”, ale przetłumaczył je na „rogata”. Autorowi oryginału z pewnością chodziło o inne znaczenie, czyli „łśnić, promienieć”. Na usprawiedliwienie patrona tłumaczy można dodać, że hebrajski rdzeń słowa „qaran” może

też oznaczać: „wypuszczać rogi”. Pomyłka Hieronima zachęciła między innymi genialnego rzeźbiarza Michała Anioła do przedstawiania proroka w okazałym porożu.

Do dziś Biblia imponuje zarówno liczbą wydrukowanych egzemplarzy, jak i liczbą tłumaczeń. Źródła podają, że Nowy Testament został przetłumaczony na 1329 języków, a łączny druk zbliża się do 5 miliardów egzemplarzy. Dla porównania *Mały Książę*, niezwykle arcydzieło literatury światowej, autorstwa Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, zostało przetłumaczone na „zaledwie” 253 języki.



Gdzie powinni trafić źli tłumacze Biblii? Do piekła oczywiście! Nie dotyczy to jednak Hieronima ze Strydonu, który mimo uczynienia z Mojżesza rogowca, został świętym. Do tego patronem tłumaczy!



Automatyczny tłumacz, czyli krótka mowa o rozpoznawaniu mowy

Za początek ery tłumaczenia automatycznego uważa się memorandum naukowe *Translation* autorstwa Warrena Weavera. Ten genialny amerykański matematyk, na życzenie fundacji Rockefellera, opracował w 1949 roku teoretyczne podstawy komputerowego tłumaczenia tekstów. Wizja Warrena zakładała, że dzięki metodom analogicznym do tych, które stosowane były w kryptografii, w nieodległej mu przyszłości możliwe będzie zastąpienie tłumacza. Nie tylko jeśli chodzi o pismo, ale także mowę. Postęp technologiczny był jednak wolniejszy od założeń naukowca, ale za to efekt, który dziś dostępny jest praktycznie dla każdego, budzi zrozumiały podziw. Współczesny zaawansowany elektroniczny translator posiada wiele użytecznych i przełomowych funkcji, ta-



kich jak: tłumaczenie tekstów ze zdjęć, tłumaczenie symultaniczne rozmów telefonicznych, tłumaczenie spotkań i konferencji. Mieszczące się w dłoni miniaturowe urządzenia dysponują także aplikacjami do nauki języków obcych, a niektóre modele mają nielimitowany i dożywny Internet w prawie wszystkich krajach świata. A cena? Kilkaset dolarów, choć najprostsze modele, które pozwalają na symultaniczne tłumaczenie w 25 językach, można kupić już za... równowartość jednej godziny nauki języka z native spikerem, czyli około 100 zł.

Jak to działa?

Niektóre narzędzia „rozpoznają” nasze słowa dzięki systemom analizującym ludzki głos odbierany za pomocą mikrofonu. Dzięki algorytmom pewne dane można szybko rozpoznać, a tym samym przetłumaczyć w sposób wykraczający poza ludzkie zrozumienie. Proces ten ma kilka zalet. Jest szybszy niż ludzki tłumacz w przetwarzaniu żądań. Jest także tańszy niż ludzki tłu-

Weaver (po lewej) po raz pierwszy wspomniał o możliwości wykorzystania komputerów cyfrowych do tłumaczenia dokumentów między naturalnymi ludzkimi językami w marcu 1947 r. w liście do cybernetyka Norberta Wienera (z prawej). Dwa lata później ukazało się memorandum *Translation*.

macz! Co ciekawe translatory mowy pozwalają zachować pewną formę obiektywizmu i neutralności w odniesieniu do tłumaczenia. Niemniej jednak, chociaż narzędzia całkowicie rewolucjonizują sektor tłumaczeń, rozpoznawanie mowy i tłumaczenie maszynowe nie obejmują jeszcze – i pewnie długo nie będą – wymiaru ludzkiej analizy. Pełny proces tłumaczenia zawiera wiele dodatkowych parametrów, które należy wziąć pod uwagę: poziom języka, semantykę, kontekst kulturowy, ton głosu, dodatkowe dźwięki, własne wyrażenia i „protezy językowe”, a nawet elementy komunikacji niewerbalnej.

Dwa rodzaje rozpoznawania mowy

Zbiorowy. Rozpoznawanie głosu niezależne od mówcy, umożliwiające korzystanie z jednego urządzenia. Każdy głos może być rozpoznawany i przetwarzany, co pozwala każdemu obsługiwać urządzenie. Chociaż ten rodzaj aplikacji jest przeznaczony dla szerokiej grupy docelowej, dostępne słownictwo jest ograniczone.

Indywidualny. Rozpoznawanie mowy zależne od mówcy, przeznaczone dla jednego użytkownika. Wariant ten pozwala na naukę programu w indywidualnym języku użytkownika, co umożliwia poznanie określonych skrótów i fraz. Słownictwo jest więc znacznie obszerniejsze.

Wiele głośników, hałas w tle lub zbyt duża odległość od mikrofonu mają negatywny wpływ na wynik. Ze względu na te ograniczenia i inne trudności, takie jak zachowanie poszczególnych mówców lub dialekt, w pełni zautomatyzowana transkrypcja nie jest (jeszcze) możliwa bez błędów i dlatego jest jakościowo gorsza od ludzkiej ręcznej transkrypcji.

Poniżej: Travis the Translator – jeden z pierwszych na świecie kieszonkowych urządzeń do tłumaczenia w czasie rzeczywistym został zaprezentowany na targach CES w Las Vegas w 2017 roku.



Co pan jej szepce do ucha – czyli „szeptanki”, „symultanki” i inne tłumaczenia konferencyjne

Klaustrofobiczne, ciasne pomieszczenie bez okna, brak wentylacji i kilkugodzinny maraton niezrozumiałych słów w obcym języku – nie, to nie opis przesłuchania w filmie sensacyjnym, tylko... praca tłumacza symultanicznego. To wyjątkowo ciężkie, stresujące zajęcie, wymagające specyficznych umiejętności. Ten rodzaj tłumaczenia wykonywany jest w dźwiękoszczelnej kabinie, przez którą teoretycznie powinno być widać przemawiającego prelegenta, ale nie zawsze jest to możliwe. Tłumacz nie ma kontaktu z mówcą i w razie trudności nie może go poprosić o powtórzenie wypowiedzi. Wystarczy, że prelegent odsunie mikrofon, mówi niewyraźnie, zacina się, gubi wątki, a praca w kabinie staje się udręką.

W branży znany jest przykład tłumacza symultanicznego ze Szczecina, który na poważnej konferencji o energetyce odnawialnej poinformował swoich słuchaczy, że nie da rady przetłumaczyć bełkotu mówcy i w ramach „przeprosin” opowiedział anglojęzycznym słuchaczom do mikrofonu dowcip. Niewinna historyjka okazała się bardzo zabawna i nagle połowa sali wybuchnęła śmiechem, dokładnie w chwili, w której prelegent zaprezentował równanie Bernoulliego.

Tłumaczeniu konsekutywnemu

Tłumacz rozpoczyna tłumaczenie, dopiero gdy prelegent skończy swoją wypowiedź (przemówienie może być podzielone na części). Zazwyczaj w tłumaczeniu konsekutywnym tłumacz w trakcie przemówienia stoi obok rozmówcy, słucha go i sporządza notatki. Gdy osoba mówiąca skończy przemówienie lub zrobi przerwę w swojej wypowiedzi, tłumacz odtwarza wypowiedź w języku docelowym w całości i w taki sposób jakby to on ją wygłaszał.

Tłumaczeniu szepczanemu

Forma tłumaczenia symultanicznego, tyle że bez użycia specjalistycznego sprzętu. W tłumaczeniu szepczanym tłumacz znajduje się obok niewielkiej grupy słuchaczy i ściszym głosem przekłada na bieżąco wypowiedź prelegenta. Tłumaczenie szepczane jest często stosowane w sytuacjach, gdy niewielka liczba osób (najlepiej nie więcej niż trzy) nie mówi w języku, którym posługuje się większość uczestników spotkania.

Tłumaczeniu ustnemu towarzyszącemu

Tłumacz zajmujący się tego rodzaju tłumaczeniami towarzyszy osobie bądź delegacji w czasie



podróży, na spotkaniach bądź w trakcie różnego rodzaju rozmów. Osoba zajmująca się tłumaczeniami towarzyszącymi nazywana jest tłumaczem „asystującym” lub „towarzyszącym”.

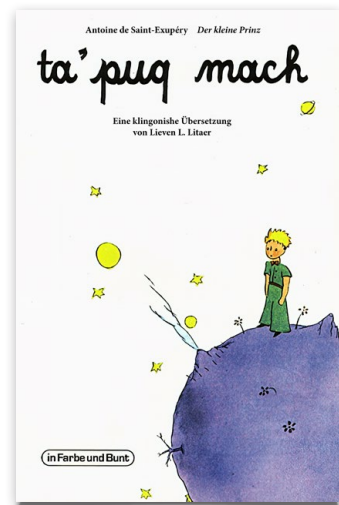
Tłumacz à vista

Tłumacz otrzymuje tekst pisany, który tłumaczy ustnie bez wcześniejszego przygotowa-

nia. Sytuacja ta występuje np. w urzędach, u notariusza lub w sądzie. Aby tłumaczenie było płynne, tłumacz musi objąć wzrokiem całe zdanie i natychmiast przetworzyć je na język docelowy.

Ni instruos vin en Esperanto

Na pytanie, jakie istnieją sztuczne języki, większość z nas wymieni esperanto. Język, który opublikował w 1887 Ludwik Zamenhof w książce *Język międzynarodowy. Przedmowa i podręcznik kompletny* pod pseudonimem „Dr. Esperanto” (doktor mający nadzieję). Dostyć popularny, zgodnie z szacunkami używany przez około 2 miliony ludzi na całym świecie. Niektórzy z nas kojarzą jeszcze być może język klingoński stworzony na fali popularności serialu Star Trek oraz quenya z powieści Tolkiena, czy współczesny sztuczny język na’vi, którym posługują się humanoidalni mieszkańcy księżycy Pandora z filmu Avatar. Ku zdziwieniu, języki te cieszą się znacznie większą popularnością niż mogłoby się wydawać. Język klingoński np. według normy



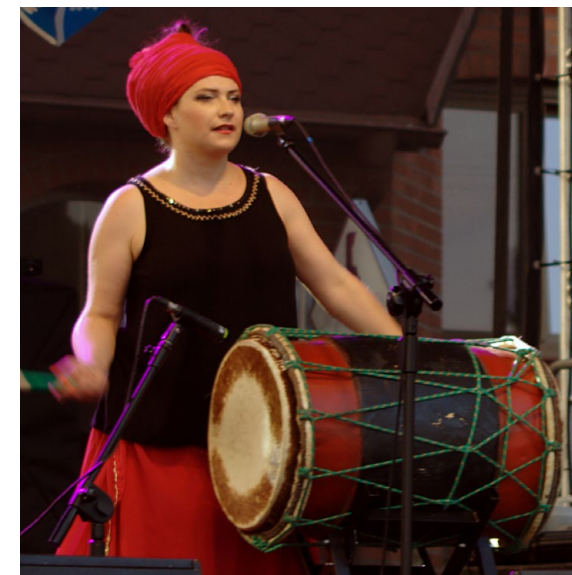
Okladka *Małego Księcia* w tłumaczeniu na klingoński

ISO 639-2 ma symbol tlh i posiada własny alfabet. Istnieją również kursy i aplikacje do jego nauki. Na język ten przetłumaczone zostało nawet najwybitniejsze dzieło Antoine’a de Saint-Exupéry’ego *Mały Książę*. Jednak chwila buszowania po sieci i dowiadujemy się o istnieniu co najmniej kilkudziesięciu sztucznych języków. Niektórymi posługuje się współcześnie zaledwie kilka osób – jak enochiański, który w XVI wieku stworzyli astrolog John Dee i wróżbita Edwardowi Kelley. Istnieje wiele powodów, dla których tworzy się takie języki: ułatwienie komunikacji międzyludzkiej, eksperymenty lingwistyczne, gry językowe, czy wspomniane użycie w fikcyjnych, kreowanych wyobraźni artysty, światach. Zwolennicy języków sztucznych często przytaczają słynną, ale sporną hipotezę Sapira-Whorfa, w której postuluje się, że używany język wpływa w mniejszym lub większym stopniu na sposób myślenia. Teoretycznie więc „lepszy” język powinien pozwolić mówiącemu nim myśleć jaśniej, inteligentniej lub też pojmować szerszy punkt widzenia. Z takim zamiarem Suzette Haden Elgin stworzyła láadan, język, który możemy znaleźć w jej feministycznej serii science-fiction Native Tongue. Zgodnie z tą hipotezą język sztuczny może być też wykorzystywany do ograniczania myśli. Przykładem jest tu nowomowa, obowiązująca w fikcyjnym, totalitarnym państwie Oceania, przedstawionym w powieści Orwella,

Rok 1984. Jednak większość współczesnych językoznawców uważa, że idee istnieją niezależnie od języka. Dlatego dzieci w każdym pokoleniu spontanicznie będą wymyślać nowe słowa, slangi, grypsy, łącząc je w przedziwnych zasadach gramatyki. I nawet jeśli ktoś skutecznie usunie z języka „wolność” to ludzie i tak wymyślą nowe odpowiednie słowo. A wolność nie zniknie. Przy najmniej miejmy taką nadzieję.

Dikandisz prosto ze Szczecina

Zanim w 1997 roku oficjalnie powstała Dikanda, Anna Witczak grała głównie na szczecińskich ulicach. Koncertowała też regularnie w legendarnej kawiarni muzycznej „Piano”. Śliczna, niewysoka, charyzmatyczna dziewczyna z akordeonem



Najbardziej znany twórca sztucznego języka Ludwik Zamenhof, ojciec esperanto.

uwodziła publiczność nie tylko silnym głosem, ale także stworzonym przez samą siebie sztucznym językiem śpiewu. W „dikandisz” można usłyszeć tony słowiańskie, bałkańskie, romskie, żydowskie czy indyjskie. Co ciekawe – sama nazwa zespołu była także wymyślona i w założeniach oznaczać miała zarówno wszystko, jak i nic. Po kilku latach wspólnego grania okazało się, iż w języku jednego z plemion afrykańskich Dikanda znaczy po prostu rodzina. Być może więc teksty w dikandisz także mają swoje znaczenie, a publiczność, która na koncertach wspólnie ze Anią śpiewa takie utwory, jak *Jakhana Jakhana*, *Ajotoro*, *Usztijo* opowiada jakąś fascynującą historię.

Anna Witczak na potrzeby swojego zespołu stworzyła sztuczny język „dikandisz”.

Native speaker języka neandertalskiego, czyli odrobina historii tłumaczeń

To było tak: jak stwórca poplątał ludziom języki podczas budowy wieży Babel, to zapanował oczywiście chaos. Jednak za chwilę znalazło się paru cwaniaków, którzy szybko nauczyli się co najmniej dwóch języków i zaczęli nieźle zarabiać na tłumaczeniu. I tak jest do dziś. Koniec bajki.

Oczywiście biblijna historia ma zupełnie inne kontekst i znaczenie religijne, a poplątanie języków ludziom miało ich nauczyć pokory wobec Boga. Symboliczny skutek kary był jednak korzystny, a ludzie dostali możliwość myślenia rozumnego i zapamiętywania, a co za tym idzie, także naukę innych języków. Jedno jest pewne – konieczność tłumaczenia języków wynika z naturalnej potrzeby komunikowania się między ludźmi. Pierwsi tłumacze byli nomadami, którzy w czasie często wieloletnich podróży przebywali między obcymi ludami i nie tyle uczyli się ich języków, co wręcz je wchłaniali. Głównymi bodźcami do rozwoju tłumaczenia był handel oraz rozprzestrzenianie się religii i oczywiście podbój nowych terytoriów, na które przed wojskiem wysyłano szpiegów. Bez pomocy tłumaczy, Aleksander Wielki nie zagarnąłby takiego obszaru, systemy nawadniania starożytnego Egiptu nie byłyby znane poza doliną Nilu, a religie funkcjonowałyby wyłącznie

w obrębie jednego języka. Interesujące w historii tłumaczeń są pierwsze księgi wyznaniowe, które były przekładane w systemie „słowo za słowo”. Miało to na celu uniknięcie błędów i niedopowiedzeń w odczytaniu słowa bożego. Stabość tej metody odkryto na początku naszej ery, jednym z orędowników tłumaczenia z zachowaniem sensu i norm językowych był Cynceron. W czasie trwania Cesarstwa Rzymskiego w powszechnym użyciu była łacina, która pełniła funkcję lingua franca. I to na ten i z tego języka dokonywano większość przekładów. Dopiero upadek Rzymu wzmocnił rolę innych języków, a swoista walka o prymat tego najważniejszego będzie pewnie jeszcze długo trwała. Ale to już zupełnie inna historia.

Św. Hieronimie patronie nasz!

30 września to międzynarodowy Dzień Tłumacza, którego patronem jest święty Hieronim ze Strydonu. Ten wybitny doktor kościoła, który urodził się między 331 a 347 rokiem, zawdzięcza swoją sławę Wulgacie – tłumaczeniu Starego i Nowego Testamentu z języka greckiego i hebrajskiego na łacinę. Do dziś przekład ten należy do znaczących tekstów biblijnych Kościoła rzymskokatolickiego i ma status oficjalnego. Hieronim mimo ascetycznego życia nie był czło-

wiekiem specjalnie skromnym i o sobie pisał, że jest jednocześnie „filozofem, retorem, gramatykiem, dialektykiem, specjalistą w hebrajskim, grece i łacinie, władającym trzema językami”. Zachowały się także informacje, że był człowiekiem „trudnym, niezdyscyplinowanym, psotnym”. Współcześni doceniali jego inteligencję i niesłychaną pamięć, ale jednocześnie zauważali takie cechy charakteru jak namiętność, zazdrość, czy podejrzliwość. W tradycyjnej ikonografii Hieronim przedstawiany jest najczęściej jako pokutnik w długiej szacie bądź obnażony starzec, w przepasce na biodrach. Czasami nosi kapelusz kardynalski, co stanowi aluzję do jego funkcji sekretarza papieskiego, lub pracuje przy pulpicie. Oprócz tłumaczy św. Hieronim jest także patronem ascetów, sierot, biblistów, egzegetów, księgarzy, encyklopedystów i... studentów.



Święty Hieronim ze Strudony w wyobrażeniu Albrechta Dürera (fragment obrazu *Święty Hieronim na pustkowiu*.)

Rozdział 4

O bieganiu, pomaganiu i chodzeniu po górach

Lubimy biegać, lubimy pomagać

Edycja 1 • 7 marca 2021

#BiegiemNaPomoc dla Hospicjum im. św. Maksymiliana Kolbego w Koszalinie

dogadamycie.pl powstało z chęci pomagania. Początkowo pomoc ta skupiała się wyłącznie na klientach. Staraliśmy się w jak najlepszy i najszybszy sposób zaspokoić ich potrzeby. Nasze starania i ciężka praca zostały zauważone i docenione. Zysaliśmy wielu stałych klientów, a nowych systematycznie przybywało. Brakowało nam jednak czegoś więcej. Niesienia pomocy innym, niekoniecznie tej związanej z tłumaczeniami. Rosnący niedosyt zmobilizował nas do podjęcia działania, wyjścia poza obszar naszych codziennych obowiązków. Tak zrodził się pomysł na #BiegiemNaPomoc.

Dlaczego właśnie bieganie? Dla niektórych z nas bieganie jest sposobem na życie. Dla Krystiana,



który początkowo chciał zgubić kilka kilogramów, a teraz systematycznie biega w maratonach, jako profesjonalista. Dla Agnieszki, która chciała udowodnić coś samej sobie i udowodniła aż nadto, przebiegając kolejne maratony, w tym półmaraton na Murze Chińskim. A potem zaraziła miłością do biegania swoich pracowników. Dla nich, sposobem na zachowanie kondycji, relaks po pracy czy złapanie dystansu do otaczającego świata. Dla całego zespołu dogadamycie.pl – idealnym sposobem na pomaganie. Wybór formy niesienia pomocy był prosty. Znacznie trudniej było zdecydować, dla kogo

ta pomoc ma zostać przeznaczona. Potrzebujących jest wielu, więc i nasze pomysły były różne. Postanowiliśmy jednak skupić się na naszej okolicy. Wybór padł na Hospicjum im. św. Maksymiliana Kolbego w Koszalinie, które powstało oficjalnie 17 lipca 1998 roku i od początku istnienia zapewnia opiekę i profesjonalne leczenie cierpiącym pacjentom. Od 2018 roku w hospicjum działa także Poradnia Medycyny Paliatywnej. To miejsce prowadzone jest przez wspaniałych ludzi, którzy kierują się zasadą zapewnienia choremu jak najlepszych warunków w okresie dla niego najtrudniejszym. Pracownicy i wolontariusze zajmują się zboleiałym ciałem i zranioną psychiką. Każdego dnia starają się eliminować ból fizyczny i duchowy, wyciszają stany lękowe i zapobiegają depresji u swoich podopiecznych. Chorzy, którym postanowiliśmy pomóc, toczą codzienną walkę. Podobnie jak ich rodziny i wszyscy pracownicy z Hospicjum. Postanowiliśmy oddać im hołd i również zmierzyć się z trudnościami. Wy-



braliśmy trasę, której daleko do lekkiej przebieżki – 35 kilometrów po plaży z Mielna do Kołobrzegu. Datę ustaliliśmy na 7 marca 2021 roku, czyli jeszcze kalendarzową zimą. Przed nami były jeszcze przygotowania i organizacja biegu, które też kosztowały nas sporo wysiłku.

W dniu biegu na starcie stawiliśmy się nie tylko my, ale również super biegacze z Homanit Polska, którzy razem z nami postanowili wesprzeć potrzebujących. Pogoda nas nie rozpieszczała, było bardzo zimno, padało i wiał silny wiatr – prosto w twarze biegnących. Mimo tego rozgrzewała nas myśl, że robimy coś ważnego i nie możemy się poddać.

Metę powitaliśmy z wielką radością i dumą. Były żółte hospicyjne żonkile. Udało nam się pokonać niesprzyjającą pogodę, zmęczenie i własne słabości. Dzięki zaangażowaniu uczestników biegu, darczyńców i organizatorów zebraliśmy kwotę ponad 21 tysięcy złotych.



Wspomnienia

Z pierwszej edycji #BiegiemNaPomoc na pewno pamiętam bardzo złą pogodę, ale też to, że nie przeszkodziła ona w realizacji celu. Bardzo miło wspominam też sam proces przygotowania się do takiej akcji i to, ile trzeba włożyć wysiłku, aby takie wydarzenie zorganizować.

Wiało, lato, czasami padał śnieg, było zimno – stanęłam na starcie i zastanawiałam się, czy kiedyś biegałam pod wiatr, który wieje z prędkością ponad 50 km/h? Nie, ale też nigdy nie biegałam dla Hospicjum, no to niech się dzieje...



Lubimy biegać, lubimy pomagać

Edycja 2 • 4 września 2021

#BiegiemNaPomoc dla Zachodniopomorskiego Hospicjum dla Dzieci i Dorosłych filii w Koszalinie



Po pierwszej edycji pokochaliśmy tę formę biegania i pomagania. Zebrane pieniądze, radość, wdzięczność i emocje sportowe dały nam solidny zastrzyk energii. Wiedzieliśmy, że tego właśnie było nam potrzeba i na pierwszym biegu z pewnością się nie skończy. Nie trzeba było długo czekać, aby pojawił się kolejny cel. Tym razem wybór padł na Zachodniopomorskie Hospicjum dla Dzieci i Dorosłych – filię w Koszalinie. Fundację, która powstała w 2006 roku jako odpowiedź na rosnącą potrzebę zaopiekowania się grupą nieuleczalnie i terminalnie chorych dzieci z terenu

województwa zachodniopomorskiego. Udzielając wsparcia chorym i ich rodzinom w sytuacji, gdy medycyna szpitalno-kliniczna nie potrafi już pomóc, a cierpienie rośnie. Umożliwiająca dzieciom opuszczenie oddziałów szpitalnych i pobyt z najbliższymi, w domach rodzinnych, zamiast tęsknoty i osamotnienia, przy jednoczesnej fachowej pomocy dla ich rodzin.

Od ostatnich kilku lat działalności Fundacja prowadzi hospicjum domowe dla dzieci w Koszalinie, Kołobrzegu, Świdwinie, Drawsku, Wałczu, Szczecinku, Białogardzie, Sławnie i jeżeli trzeba



– w Słupsku, hospicjum domowe dla dorosłych Pacjentów z terenu Gminy Miasto Szczecin, Poradnię Żywienia Dojelitowego i Poradnię Dzieci i Młodzieży Wentylowanych Mechanicznie. Inicjatywa była zatem wyjątkowa i do pomocy nie trzeba było nikogo namawiać.

Tym razem datę biegu zaplanowaliśmy na 4 września 2021 roku. Chcieliśmy przystąpić do działania najszybciej, jak było to możliwe. Trasa pozostała taka sama – 35 kilometrów plażą z Mielna do Kołobrzegu. Na starcie stanęło 115 znakomitych biegaczy. Oprócz dogadamyście.pl i Homanit Polska, do akcji przyłączyły się dwie kolejne firmy – Espersen i Kospel. Byli z nami także wolontariusze z Hospicjum, którzy rozdawali wodę i napoje izotoniczne, a nad bezpieczeństwem uczestników czuwali ratownicy medyczni.

Rekord 1 edycji został pobity! Udało nam się zebrać ponad 36 tysięcy złotych. Całej akcji towarzyszyła internetowa zbiórka na portalu siepomaga.pl.



Lubimy biegać, lubimy pomagać

Edycja 3 • 6 marca 2022

#BiegiemNaPomoc dla Ukrainy

Trzecia edycja biegu była dla nas najtrudniejsza. Nie ze względu na trudności fizyczne, pogodowe czy organizacyjne, ale na towarzyszące jej emocje. Była reakcją na brutalną rzeczywistość, tragedię naszych sąsiadów z Ukrainy, bezmiar cierpienia i okrucieństwo wojny. Tej edycji nie planowaliśmy. Atak na Ukrainę początkowo wszystkich nas przeraził i sparaliżował, ale doświadczenie z poprzednich biegów nauczy-

ło nas, że należy właśnie wtedy otrząsnąć się i zacząć działać. Nie mogliśmy stać spokojnie i patrzeć na krzywdę innych. Musieliśmy pomóc, po naszymu, tak, jak umiemy najlepiej. Błyskawicznie zaczęliśmy organizować bieg i już 6 marca 2022 roku byliśmy gotowi. Na starcie w koszańskiej Wodnej Dolinie stanęło ponad 600 uczestników, aby wspólnie przebiec 1300 kilometrów, czyli dystans, jaki dzieli Koszalin od



Kijowa. Po każdym 2-kilometrowym okrążeniu uczestnik stawiał symboliczną kreskę, która oznaczała pokonanie odległości. Łącznie uczestnicy pokonali jednak aż 1914 km!



Poza biegaczami, w Wodnej Dolinie zebrało się wielu ludzi, którzy również pragnęli pomóc. I, tak jak my, nie potrafili zrozumieć tego, co dzieje się na Ukrainie. Swoje wsparcie dla jej mieszkańców okazali datkami finansowymi i rzeczowymi. W trakcie zbiórki dla Ukrainy prowadzonej podczas biegu udało się zebrać ponad 7 tysięcy złotych i spory zapas środków medycznych. Za sprawą dzieci, które namalowały przepiękne plakaty, oraz powiewających niebieskożółtych wstążek, niesione wsparcie miało wymiar emocjonalny.

Wspomnienia

Z wydarzenia #BiegiemNaPomoc dla Ukrainy wspominam szybkość akcji, z jaką została przeprowadzona, tłumy, które pozytywnie odpowiedziały na nasz apel oraz ręcznie zrobione plakaty, które zdobią nasze biuro. Plakaty wykonane przez dzieci pracowników. Nie zapomnę widoku tablicy z kreskoczkami, które odmierzały dystans z Koszalina do Kijowa. Cel udało się osiągnąć w 1 godzinę! W mojej pamięci pozostaną również charakterystyczne niebieskożółte wstążki, które zdobiły odzienie uczestników.

To było niesamowite – kiedy tyle osób pokazuje solidarność, biegnie, idzie, jedzie na rowerze – i liczy kilometry, bo w ten sposób chce powiedzieć – NIE dla wojny, agresji, nienawiści.

Bieg nie był jednak jedyną pomocą dla Ukrainy, jaką mogliśmy zaoferować. Zrobiliśmy to, co potrafimy najlepiej – wykonaliśmy i wykonujemy nadal wiele tłumaczeń – pomagając uchodźcom, ale też wielu instytucjom, które tłumaczeń, szczególnie na język ukraiński potrzebowały.



Lubimy biegać, lubimy pomagać

Edycja 4 • 12 czerwca 2022

#BiegiemNaPomoc dla Zachodniopomorskiego Hospicjum dla Dzieci i Dorosłych filii w Koszalinie

Czwartą edycję naszego biegu, trochę spragnieni ciepła i promieni słonecznych, postanowiliśmy zorganizować w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach. Tym bardziej, że do grupy biegaczy dołączyli również rowerzyści i „kijkarze”. Datę ustaliliśmy na 12 czerwca 2022 roku, licząc na lepszą pogodę, niż w poprzednich edycjach. Przewrotnie „odwróciliśmy” również trasę, rozpoczynając w Kołobrzegu i kończąc

w Mielnie. Oznaczoną plakatami wykonanymi przez uczestników, a także uczniów SP nr 18 im. Jana Matejki w Koszalinie. I udało się! Słonko przygrzewało z umiarem, a delikatna „mieleńska”, morska bryza chłodziła uczestników i organizatorów biegu.

Punktualnie o 8 rano spotkaliśmy się z silną ekipą koszalińskiego Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej na plaży przy kołobrze-

skiej latarni morskiej. Kolejni biegacze dołączali w punktach w Sianożętach, Czerwonej, Gąskach i Sarbinowie. O godz. 13-tej dwustu zmęczonych, ale szczęśliwych uczestników biegu powitał szpaler uczniów i uczennic w mundurach wojskowych z Michalickiego Zespołu Szkół Ponadpodstawowych. Plażę zalał ogrom pomarańczowych koszulek uczestników z firmy Esperesen Poland oraz grafitowych, w których biegli funkcjonariusze z Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie. Oklaski nie były jedynym podziękowaniem dla uczestników naszego biegu. Na mecie czekały na nich zajęcia z zumbi, batony i napoje oraz lody.

Dzięki zaangażowaniu uczestników, darczyńców, organizatorów i cudownych, hospicyjnych wolontariuszy udało nam się w sumie zebrać ponad 55 tysięcy złotych! Ponadto nasza ak-



cja wzbudziła ogromne zainteresowanie wśród plażowiczów, którzy z zaciekawieniem oglądali nasze plakaty, wypytywali o cel biegu, a nawet dołączali do zajęć zumbi i wspólnej zabawy. Liczymy na ich obecność w kolejnej edycji biegu, którą już zaczynamy planować. Musimy wyznaczyć, że jesteśmy od nich uzależnieni, ale na odwyk się nie wybieramy! Będziemy biegać i pomagać dalej!



**CZTERY EDYCJE
#BIEGIEMNAPOMOC TO ZEBRANE
PONAD 82 TYSIĄCĘ ZŁOTYCH**

Lubimy też chodzić po górach

Nasze życie, nasze pasje

Cztery edycje #BiegiemNaPomoc wyraźnie świadczą o naszej miłości do biegania. Ale to nie jedyna pasja, jaką dzielimy w dogadamycie.pl. Kochamy również góry i wspólne wędrówki po mniej lub bardziej uczęszczanych szlakach. Poza cudownymi widokami, gromadzeniem pozytywnej energii na zapas i uwolnieniem się od codziennych trosk, w czasie ich trwania zdobywamy coś więcej. I nie mówimy tu o zakwasach, których skutecznie dostarcza nam Agnieszka i jej „skrót”. Pewnie niewiele osób wie, że tylko część zespołu dogadamycie.pl mieszka i pracuje

w Koszalinie. Wielu z nas pracuje zdalnie z różnych miast Polski. Wspólny wypad w góry jest zatem jedną z nielicznych możliwości lepszego poznania się, zbudowania relacji i zdobycia wspomnień, które towarzyszyć nam będą już zawsze.

Nasza historia ma w sobie wątki tatrzańskie oraz kaukaskie. Jak to możliwe i co łączy zakopiańskie szczyty z najwyższą górą w Europie, czyli Elbrusem? Tak, to nie błąd, choć pewnie część czytelników przyjmie zdanie Międzynarodowej Unii Geograficznej, która uznaje, że szczyt leży



już w Azji, a to oznacza, że najwyższą górą Europy jest alpejski Mont Blanc (4810 m n.p.m.). Jednak wielu himalaistów twierdzi, że Elbrus należy jeszcze do Europy, a skoro wierzchołek zachodni sięga 5642 m n.p.m., a wschodni 5621 m n.p.m., to logicznym wydaje się zmiana lidera. Tylko w sumie, jakie to ma znaczenie? I właśnie tak postrzegamy chodzenie po górach. Dla wyjaśnienia – Elbrus na żywo widziała na razie tylko Agnieszka, ale w Tatrach chętni już byli. Wyprawa na daleki Kaukaz czeka, a my ucząc się gór, przemierzamy górskie szlaki. Choć w tym roku kierunek wyprawy zapowiada się jednak nieco inaczej. Udało się nam wyjechać już dwa razy z prawie całym zespołem, a wygląda na to, że stanie się to tradycją w dogadamycie.pl. I gdy z rzadka dopada nas w biurze jesienna chandra,

wystarczy, że obejrzymy sobie te pamiątkowe zdjęcia. I tobie, drogi Czytelniku też życzymy tej dobrej energii. I oczywiście do zobaczenia na szlaku!

Wspomnienie anonimowego uczestnika (wiadomo kogo...) wyprawy tatrzańskiej z ekipy dogadamycie.pl

Droga powrotna z ostatniej wycieczki i chęć skrócenia trasy przez schronisko skończyła się podróżą zamkniętym szlakiem, ale za to przepięknymi, leśnymi widokami. Po powrocie do noclegu mieliśmy problem z wdrapaniem się, a następnie zejściem na dół na pierwsze piętro. Skończyło się to tym, że wylądowaliśmy w małej knajpie naprzeciwko, bo byliśmy zbyt zmęczeni na poszukiwania.

Patrzę i widzę te zmiany i przemiana w nas wszystkich – im wyżej, tym trudniej, ale tym większa radość – udało się! Dlaczego tak bardzo przypomina mi to firmę?

Rozdział 5

Oni dla nas tłumaczą



Anna



Irina



Marcin



Karol



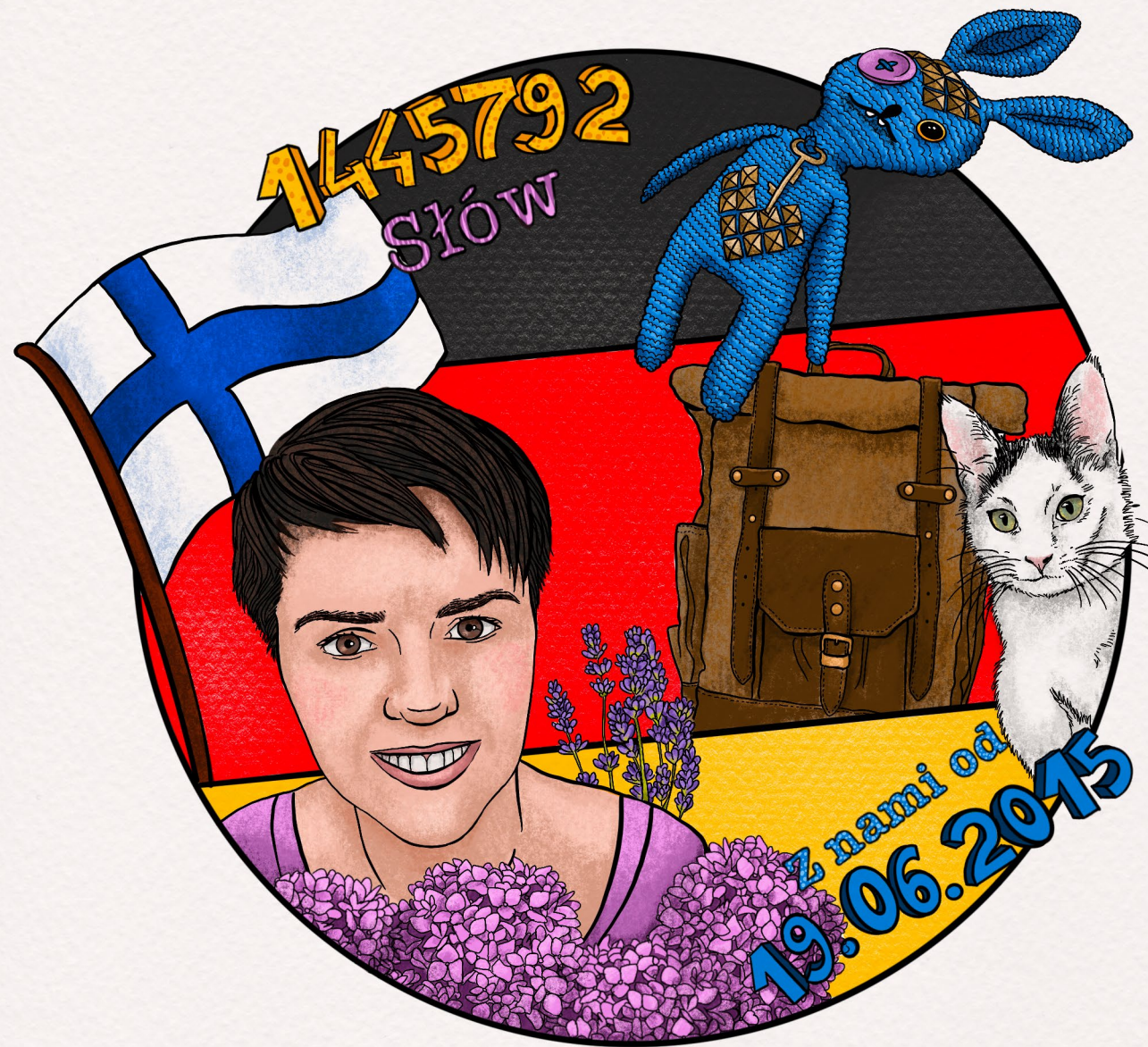
Paweł



Mariola



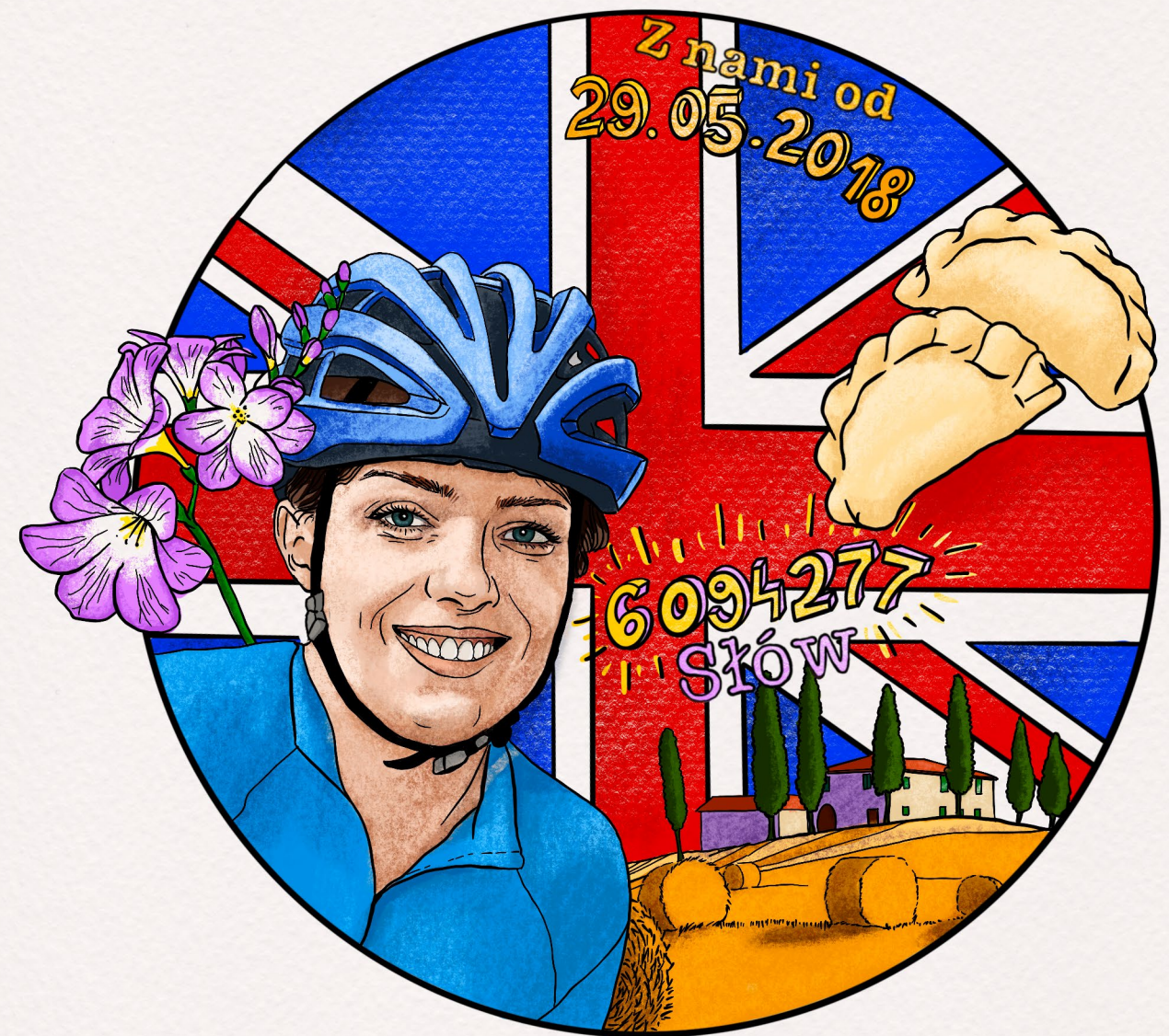
Andrzej



Mirosława



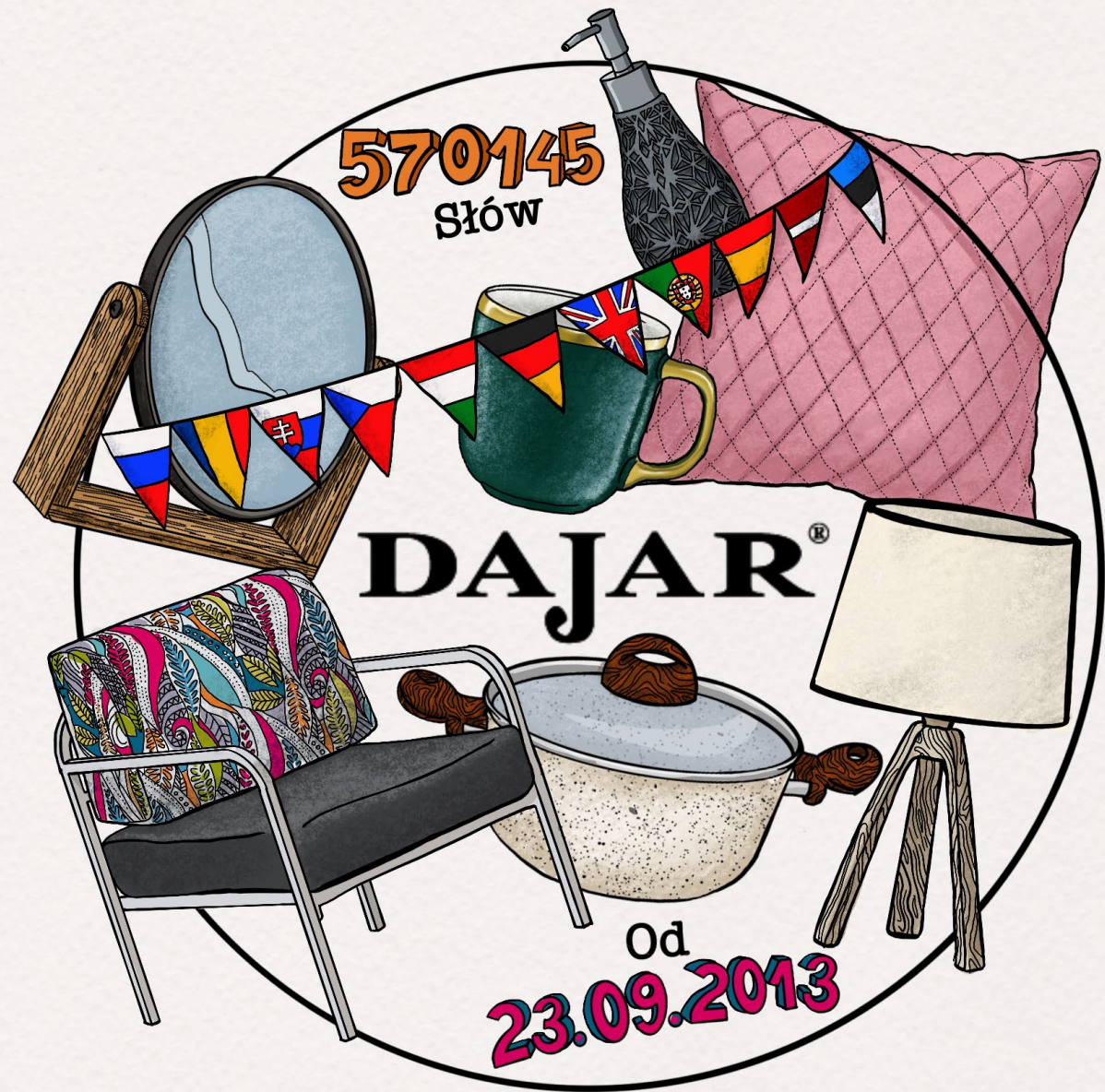
Magda



Małgorzata

Rozdział 6

Dla nich tłumaczymy





98135
Słów



whitepress[®]

Od
26.07.2019

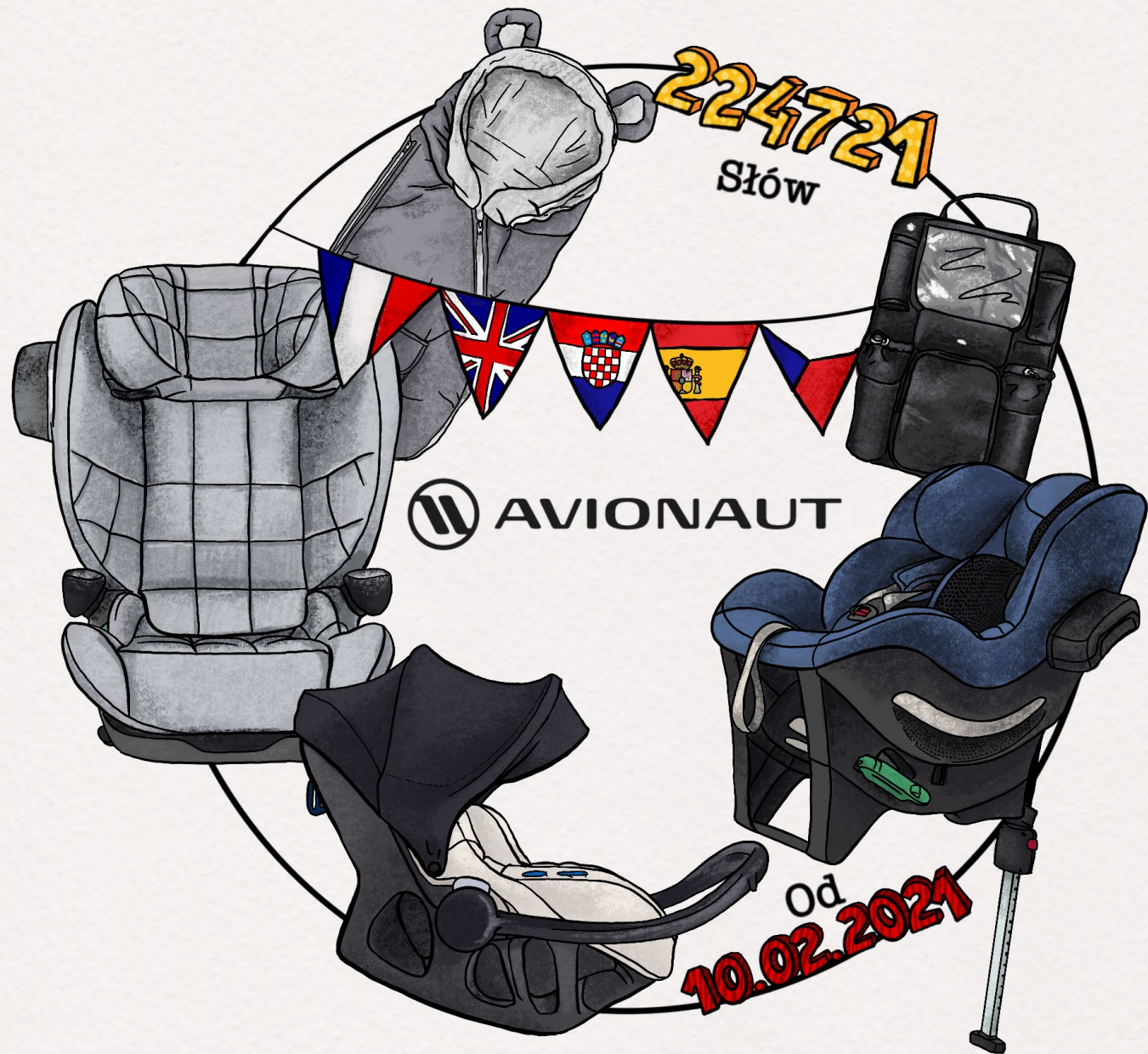
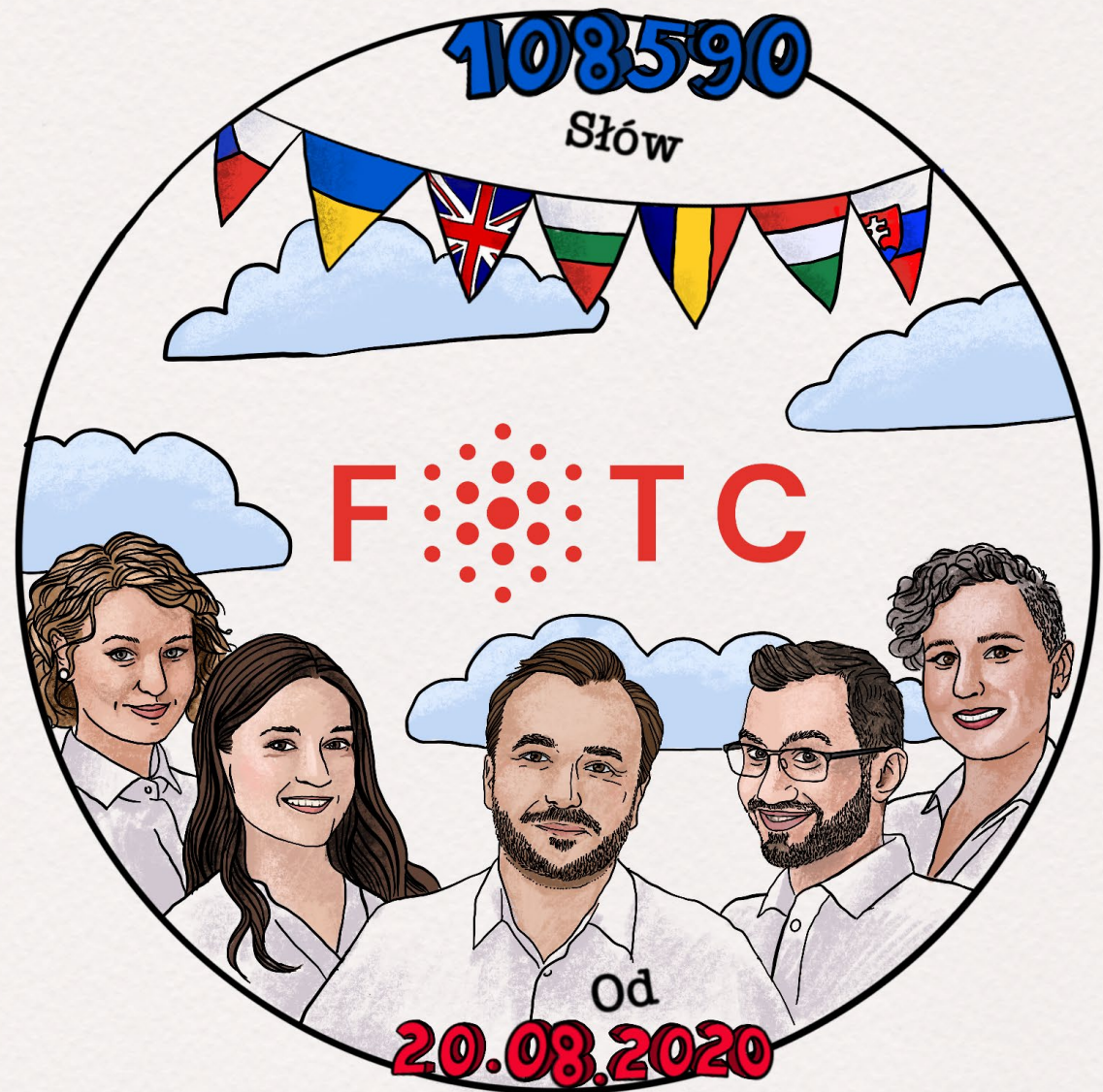
674288
Słów

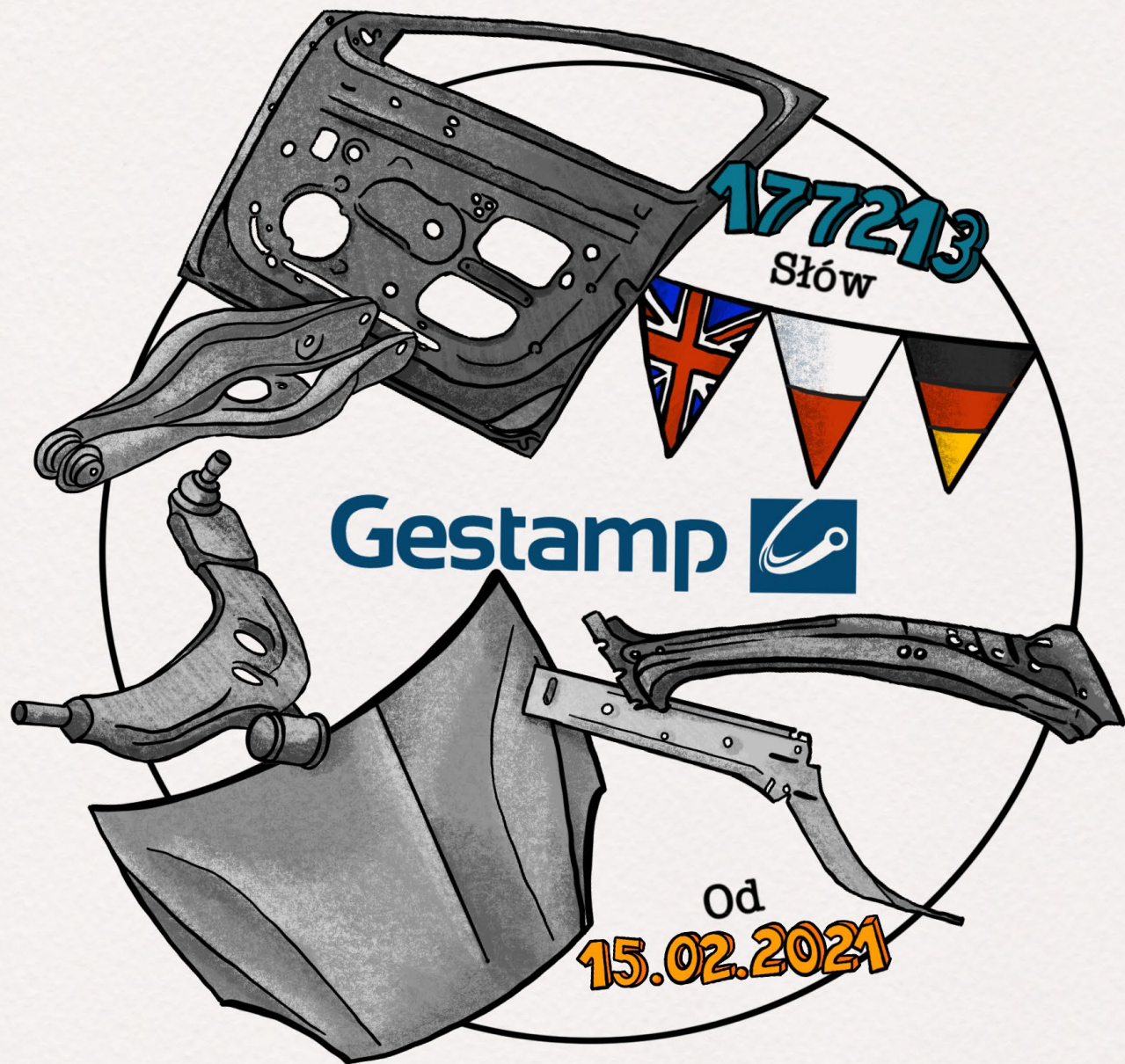


KROSS

Od
11.12.2019







Rozdział 7

Sherlock Holmes i zagadka listu z Paryża

Tego popołudnia z wyjątkową ulgą usiedliśmy poobiedniej herbaty i, jak zawsze za sprawą niezastąpionej pani Hudson, spotkała nas niespodzianka w postaci słodkich ciasteczek. Dramatyczne wydarzenia na London Bridge, których byliśmy uczestnikami, pewnie jeszcze długo będą wywoływać we mnie dreszcze. W przeciwieństwie do mnie mój przyjaciel zdawał się być spokojny, a nawet lekko wesoły.

– Czy wiesz drogi Watsonie, że kiel narwala, którego użyłeś do obezwładnienia tego nieszczęśnika ma ostatecznie ozdobić ścianę naszego ulubionego pubu? – o dziwo w tonie Sherlocka wyróżniała się lekka kpina. – Wyobrażam sobie napis pod wiszącym za szkłem eksponatem, który głosi, że w 1882 roku dzielny emerytowany wojskowy lekarz pokonał pijanego w sztok szynkarza, który w szale zazdrości rozbił półkwartowy kufel na głowie swojego konkurenta. Przyznaj się drogi Watsonie, że najbardziej zirytował cię fakt, że ten wyśmienity irlandzki Guinness miał być dla ciebie?

– No cóż, nie zaprzeczam, że strata dobrego piwa jest wystarczającym powodem do solidnej bijatyki – opowiedziałem, trzymając się żartobliwego tonu Holmesa – choć pewnie, gdyby szynkarz nie sięgnął po nóż i nie poranił kilku przypadkowych klientów, to nie ryzykowałbym zniszczenia cennego eksponatu dla nowego muzeum historii naturalnej. Tak przy okazji, nadal nie wiem, skąd kiel wziął się w twoich zbiorach?

– Ach, kiel! Jest on smutną pamiątką po niewyjaśnionej do dziś sprawie tajemniczego zniknięcia pewnej londyńskiej artystki – w tonie mojego przyjaciela słychać było wyraźną melancholię, a nawet smutek.

Przyglądałem się uważnie, jak powoli z namaszczaniem Holmes nabijał tytoniem ulubioną fajkę i jednocześnie przypomniałem sobie szufladę wypełnioną wycinkami prasowymi i zdjęciami pewnej uroczej pianistki. Czyżby kiel narwala w jakiś sposób łączył się z uczuciem Holmesa do znanej artystki lady Agnes C.H.? Nie potrafiłem sobie wyobrazić w żaden sposób nici łączących te sprawy, a delikatność materii powstrzymywała mnie od pytań.

– Mam wrażenie drogi Holmsie, że od dawna nie prowadzisz żadnej sprawy. Czy postanowiłeś odpocząć, czy może wylapałeś już wszystkich przestępców w Londynie – postanowiłem zmienić temat rozmowy.

– Nie sądzę Watsonie, że kiedykolwiek znikną przestępcy, a na pewno nie w Londynie. I może dobrze, że kiel narwala będzie wisiał w publicznym miejscu? Kto wie, być może kiedyś się jeszcze przyda na jakiegoś rzezimieszka, choć uważam, że prawdziwi złoczyńcy coraz częściej przybiorą maski dystygowanych dżentelmenów.

Domyślałem się o kim mowa. W naszym jakże przytulnym mieszkaniu przy Baker Street 221b, przez chwilę powiało grozą. Wraz z kolejnym wydmuchnięciem aromatycznego fajkowego dymu Holmes roześmiał się jednak wesoło.

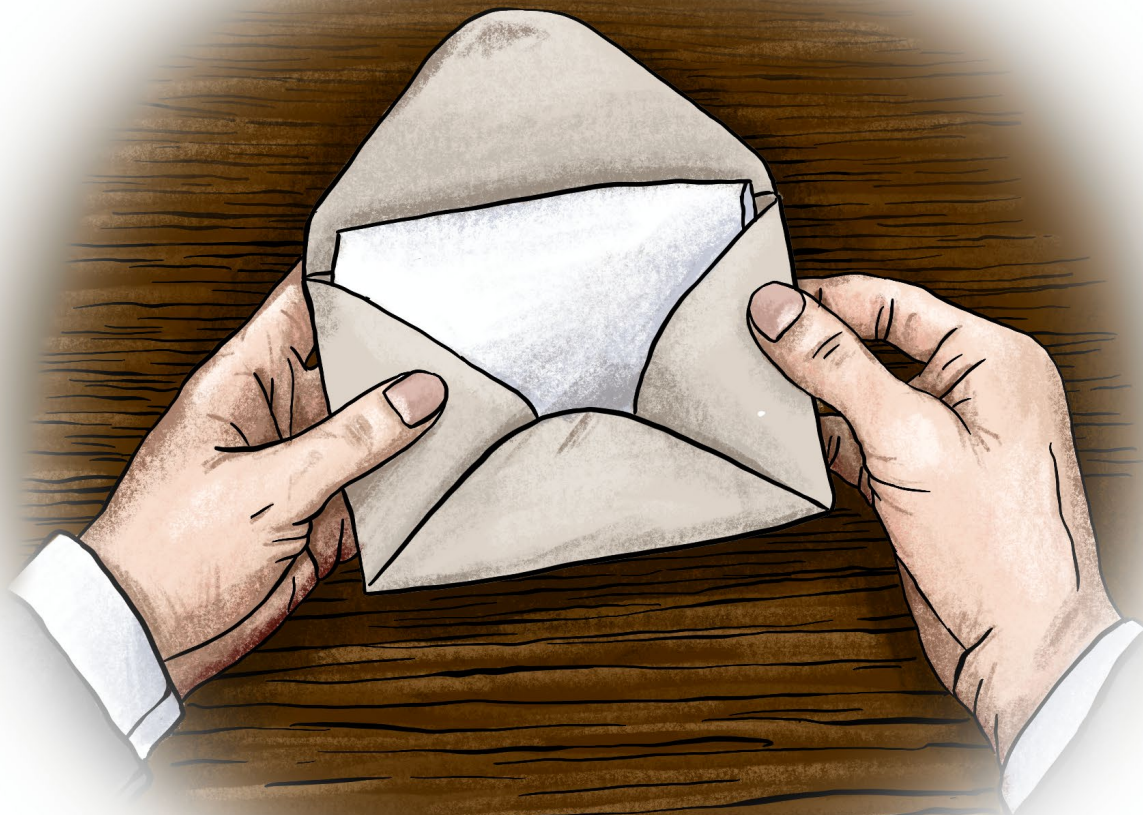
– Muszę ci jednak uczciwie przyznać, że pozostaję nie tylko pod ogromnym wrażeniem twoich umiejętności szermierczych, ale także rozwijającym się umiejętnościom dedukcji. Trafnie rozpoznałeś nazwisko pewnej damy, którą faktycznie kiedyś darzyłem niezrozumiałą dla nawet dla mnie sympatią. Aczkolwiek to już sprawa przeszłości. A widząc zdumienie na twojej twarzy, odpowiadam, że nie trzeba umieć czytać w myślach, wystarczyło naprowadzić cię doborem właściwych słów i zaobserwować, że twój wzrok podążył na szufladę z pamiątkami po lady Agnes. I właśnie lingwistyka, skojarzenia słowne, tłumaczenie ukrytych znaczeń i czytanie intencji autora jest od jakiegoś czasu moją pasją. Sięgnij proszę do szuflady, znajdziesz tam ścisły powód mojego zainteresowania. Przyznaję, że spotkałem się z zagadką, której nie umiem rozwiązać. I liczę na twoją inspirację, która w końcu doprowadzi mnie do wyjaśnienia. Tacy ludzie, jak ty, choć sami nie będąc obdarzeni geniuszem, posiadają jednak talent budzenia go u innych.

Holmes nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób i muszę przyznać, że ostatnie cierpkie słowa sprawiły mi wielką przykrość. Często bywałem dotknięty jego obojętnością dla moich umiejętności detektywistycznych, choć przecież czasami okazywało się, że to właśnie on się mylił. W tym przypadku podejrzewam, że mój złośliwie współlokator zdrwił ze mnie. Kła narwala nie łączyła oczywiście – to już jest jasne – żadna zależność z Lady Agnes, a cała zabawa miała na celu zmusić mnie do wstania z wygodnego fotela i otwarcia szuflady. Holmes po raz kolejny okazał się nie tylko geniuszem intelektu, ale także ujawnił się jako osobnik wyjątkowo leniwy. Jednak ciekawość zwyciężyła z urazą i ostrożnie otworzyłem szufladę w pięknym, choć odrobinę już zniszczonym wiktoriańskim sekretarzyku, który był ozdobą naszego gabinetu. W środku nie było już ani wycinków prasowych, ani zdjęcia damy serca Holmesa. Na dnie szuflady leżała koperta ze śladami otwarcia. Wziąłem ją do ręki, obejrzałem uważnie i ostrożnie wysunąłem z koperty złożony na pół ozdobny papier listowy. Od razu zwróciłem uwagę, że charakter pisma na kopercie i w liście są zupełnie różne. Na adresie nie było nazwiska, tylko inicjały M.L.H. Spojrzałem pytająco na przyjaciela.

– Tak oczywiście możesz go przeczytać – zaśmiał się Holmes – o ile zdołasz – dodał ironicznie.

Złożony idealnie w połowie papier listowy był zapisany ozdobnym, kaligraficznym pismem w nieznanym mi języku. Słowa w nagłówku były jednak znajome „wowiee ya tzee”. Poniżej gęsto zapisane było dziewięć wierszy w jednej kolumnie. W każdym wierszu od trzech do pięciu słów. Na końcu kilku z wierszy był dodany mały rysunek wielkości litery. W symbolach rozpoznałem między innymi syl-





wetkę ptaka, słońca i dziwnego księżycy (z czapeczką). Piktogramy przypominały odrobinę egipskie hieroglify, które miałem przyjemność podziwiać w British Museum. Słowa w wierszach jednak nie kojarzyły mi się z żadnym ze znanych mi języków. A muszę nieskromnie zauważyć, że z racji wieloletniej służby w Indiach miałem do czynienia z wieloma egzotycznymi formami słownej i pisemnej komunikacji między ludźmi. Poniżej była prawdopodobnie zasadnicza część listu. Równie zagadkowa. I równie niezrozumiała.

– Powiedz mi więc, jakie refleksje budzi w tobie lektura? Dodam, że ten list był adresowany do naszej gospodyni. I pewnie zauważyłeś, że nadano go z Paryża? Nasza uroczą Pani Hudson zaprzecza jednak, aby miała jakiegokolwiek znajomości w stolicy Francji i z całą pewnością nie oczekiwała żadnego listu – wyjaśnił Holmes.

– Sądzę – odpowiedziałem, stosując w miarę możliwości metodę swego przyjaciela – że list został tak napisany, aby odczytać go mogła tylko wybrana osoba. Skoro Pani Hudson jest pewna, że nie zna nadawcy, w takim razie prawdopodobnie miała go tylko otworzyć. Nasuwa mi to przypuszczenie, że prawdziwym adresatem był ktoś inny. Ktoś, kto mieszka w tym domu i komu mogłaby gospodyni pokazać dziwny list.

Spojrzałem uważnie na twarz mojego współlokatora, szukając potwierdzenia mojej teorii. Jednocześnie przyszła mi do głowy straszliwa myśl. Gwałtownym ruchem odrzuciłem list na herbaciany stolik. Holmes wypuścił kłęb dymu z ust i kolejny raz mnie zaskoczył.

– Też o tym pomyślałem drogi Watsonie. Zawód detektywa nauczył mnie czujności i faktycznie hipoteza listu nasączonego trucizną, który zanim trafiłby do właściwego odbiorcy, uśmierciłby niewinną, a bliską mu osobę przez chwilę także mnie przeraziła. Ale zapewniam cię, że ani koperta, ani sam papier listowy nie zawierają niczego podejrzanego. W moim laboratorium mam odczynniki, które wykryją wszystkie znane współczesnym złoczyńcom trucizny. Zgadzam się jednak z tobą, list prawdopodobnie miał trafić właśnie w moje ręce. I z pokorą przyznaję, że nie mam absolutnie żadnych podejrzeń, zarówno jeśli chodzi o tożsamość nadawcy, jak i samą treść. No cóż, niestety nie zainspirowałeś mnie do żadnej nowej idei. I dlatego tym bardziej przyjmuję wyzwanie tajemniczego „ktoś”. Nadaję tej sprawie kryptonim „list z Paryża” i nie wyjdę z domu, dopóki nie odczytam listu.

Deklaracja Holmesa odrobinę mnie zaniepokoiła. Wiedziałem, że słowa o oddaniu się pracy z całą pewnością nie zostały rzucone na wiatr, najbliższe dni zapowiadały, że słynny detektyw nie tylko nie będzie wychodził z domu, ale też nie będzie jadł ani nie będzie spał. Nie miałem jednak żadnego pomysłu, jak mógłbym pomóc mojemu przyjacielowi. Choć chciałem przynajmniej spróbować.

– Czy ja także mogę włączyć się w poszukiwania odpowiedzi, może przekopiuje sobie treść listu? – zapytałem.

– Oczywiście – w tonie Holmesa pojawił się ton życzliwości – nie musisz nawet przepisywać, ja wykonałem już kilkanaście kopii oraz szczegółowe fotografie. Sam papier listowy i koperta nie zawierają już żadnych wskazówek, dlatego możesz je zabrać z sobą. O ile Mary nie uzna, że otrzymujesz zaszyfrowane listy od wielbicielek.

W zacisznym gabinecie przy Baker Street rozległ się gromki śmiech, ale przyszłość szybko odebrała Holmesowi dobry humor.

* * *

Niestety moje najgorsze przypuszczenia okazały się prawdziwe. Kolejne dni szybko zamieniły się w tygodnie, a zagadka nadal pozostała nierozwiązana. Sherlock pracował bez wytchnienia, jedyne co udało mi się uzyskać, to codzienne wizyty w porze lunchu, gdy mogłem otworzyć okna i przewietrzyć gabinet z fajkowego dymu. Na szczęście Holmes miał dobry apetyt i wspólnie znakomicie radziłem sobie z przysmakami naszej gospodyni. Gabinet w międzyczasie zmienił się z lingwistyczną pracownią naukową. Wszędzie wały się słowniki, kartki z napisami, pojawiła się nawet kredowa tablica, na której detektyw przepisał treść i próbował znaleźć klucz do odczytania listu. Co ważne – tym razem mój przyjaciel nie pracował samodzielnie. Liczne kopie zostały wysyłane do szacownych naukowców i tłumaczy z całego kraju. Na stole leżały odpowiedzi sygnowane pieczęciami uczelni Cambridge, Oxford, College London, a także King's College. Niestety żadna nie zawierała choćby wskazówki, a słynni profesorowie pozostawali równie bezsilni, co najwspanialszy umysł detektywistyczny na świecie.

– Obawiam się drogi Watsonie, że lista moich, na szczęście nielicznych porażek, będzie musiała się wydłużyć. Nie mam pojęcia, od kogo jest ten list, ani jaka jest jego treść – stwierdził pewnego dnia Holmes.

Minęło ponad 4 tygodnie bezowocnych poszukiwań. Siedzieliśmy późnym popołudniem przy filiżance kawy, która zawsze smakowała wyśmienicie, a dziś miała posmak gorzkości. Przez okna docierał gwar ulicy, zachęcając do wyjścia na pobliski Regent's Park. Miałem nadzieję, że Sherlock w końcu podda się i wróci do aktywności, choć jakaś część mnie z trudem godziła się z porażką.

– Och to nie twoja wina – próbowałem zmienić nastrój rozmowy – być może za kilka albo kilkadziesiąt lat nauka znajdzie jakiś sposób, aby usprawnić procesy tłumaczenia. Gdybyś tylko miał dostęp do wszystkich możliwych języków i za pomocą maszyny matematycznej mógł analizować język

pod względem słów, struktury, zasad gramatycznych, czy ilości samogłosek i spółgłosek. Mogłoby się okazać, że taki sztuczny mózg z dostępem do nieograniczonej wiedzy, porównując różne języki świata, trafiłby w końcu na właściwą kombinację. Pewnie taki proces trwałby wiele dni, ale z pewnością zmieniłby lingwistykę. Ach, pomyśl Holmesie, gdyby taką możliwość mieli wszyscy twoi przyjaźnieni uczeni. Wyobraź sobie, że twój następcą, który otrzyma pocztą jakiś tajemnicze pismo, w jednej chwili wykonuje barwną fotografię i wprowadza ją do maszyny, który zamieni obraz na język telegrafu przyszłości i wyśle go jednocześnie do 300 najwybitniejszych ludzi nauki na całym świecie, a oni natychmiast rozpoczną pracę. I już po kilku godzinach otrzymałbyś efekty – wysłane do twojej miniaturowej maszyny drukarskiej. Oczywiście taki wynalazek mógłby służyć wszystkim ludziom i pomagałby w codziennym tłumaczeniu w każdej sprawie – od dokumentów państwowych, dzieł naukowych do tłumaczenia przepisów kulinarnych.

W tym momencie przeszła mnie pewna szalona myśl. Zanim jednak uchwyciłem jej sens, Sherlock roześmiał się głośno.

– Och prawdziwy fantastą z ciebie Watsonie. Nie przypuszczam, że będzie to kiedykolwiek możliwe. Przypomnę ci, że choć żyjemy we wspaniałej epoce rozwoju techniki, ale wielcy naukowcy zgodnie przyznają, że to, co mogło być wynalezione, to już jest z nami. Kończą się możliwości odkryć w nauce, ale idąc za twoją lekko szaloną wizją, nie sądzę, że takie maszyny służyłyby szczytnym celom. Znając ludzką naturę, użytkownicy takiej mechanicznej sieci – bo tak chyba trzeba by nazwać możliwość łączenia się jednoczesnego z osobami w innych częściach świata – używaliby jej raczej do przesyłania zdjęć kotów, albo zgoła jeszcze innych, niekoniecznie naukowych obrazów. Choć oczywiście, jako otwarty umysł widzę także wiele wspaniałych możliwości, jakie dałoby takie hipotetyczne urządzenie. Moglibyśmy się dogadać z każdym człowiekiem na ziemi i skutecznie rozwiązać wiele problemów komunikacji. Niestety, to tylko piękna bajka.

Sherlock miał oczywiście rację, ale pomyśl, który wcześniej przyszedł mi do głowy, nadal nie dawał mi spokoju. Musiałem sprawdzić ten trop. Szybko pożegnałem się z Holmesem – co wywołało jego zaskoczenie i opuściłem nasze wspólne mieszkanie. Szczęśliwie na ulicy czekał rząd dorożek, rozpoznałem wśród wozaków znajomego furmana. Czerstwy staruszek Christian S., stary weteran wojenny, a także znawca wszystkich portowych knajpek i londyńskiego półświatka, wiele razy pomagał nam w prowadzeniu śledztw, bezbłędnie dowożąc nas do miejsc zbrodni, mając wyłącznie mglisty opis adresu. Serdecznie przywitałem się z wozakiem, który uśmiechnął się szeroko na mój widok, ekspozując jedyne i do tego krzywego zęba.



– Jak tak filuje na kufę doktorka, to sam nie wiem, czy na chawirę, czy będziemy flekować jakichś parafianów? – zrozumieć starego cockney’a nie było łatwo, język londyńskiej ulicy zdecydowanie potrzebował tłumacza. Ja jednak doskonale wiedziałem, o co pyta dorożkarz.

– Nie, tym razem nie będziemy rozbijać żadnej grupy przestępców i do domu też pojedziemy później. A teraz proszę, zawieź mnie pod ten adres.

Niczego nie wyjaśniając, podałem dorożkarzowi kopertę. I okazało się, że intuicja mnie nie myliła. Christian rzucił okiem na adres i... nie okazał ani odrobiny zaskoczenia, że przecież jesteśmy na miejscu, tylko mruknął coś w stylu, że jedziemy do szemranej okolicy, ale wcale go to nie dziwi. Za to mnie zdziwiło, że Holmes nie zauważył, że nazwa ulicy na kopercie mogła być błędnie odczytana przez doręczyciela i przez niego samego. O ile pierwsza wielka litera „B” była bardzo czytelna, tak potem trudno było określić, czy mamy do czynienia z małą literą „a”, czy „e”, potem następował dziwny zawijas oraz kolejne wyraźne małe „k” z zawijaszem przypominającym literę „e”. Równie dobrze jednak mógł to być tylko ozdobnik, którym wiele osób kończy literę „k”. Sherlock systematycznie otrzymuje ogromne ilości korespondencji adresowanej na mieszkanie przy Baker Street. Prawdopodobnie pracownik „General Post Office” uznał, że to kolejny list na popularny adres. Tym bardziej że numer lokalu się zgadzał. Jednak świeże spojrzenie dorożkarza wskazało, że ktoś inny miał odczytać ten list, a Holmes w przedziwnym zbiegu okoliczności (i zadufaniu) uznał, że to on był odbiorcą. Właściwie to adresatem miała być nasza gospodyni Martha Louise Hudson, której rzekomo inicjały były w miejscu adresata. Ja już miałem pewność, że Sherlock się mylił, a ja za chwilę poznam tajemnicę listu z Paryża.

– Kojarzysz to miejsce, gdzie jedziemy? – wychyliłem się przez okno i krzyknąłem do jadącego na tylnym koźle dorożkarza.

– No pewnie! Beak Street to bez bałachu najlepsza szama na Soho i inne przyjemności też najlepsze – gromko krzyknął mój woźnica.

Czyli jednak nie Baker Street, tylko Beak Street! Holmesa zgubiła pewność siebie i chyba elementarny brak pokory, choć niechlujny charakter pisma na kopercie w odróżnieniu od kaligrafii w samym liście mógł zmylić każdego. Powoli zbliżaliśmy się do owianej złą sławą londyńskiej dzielnicy, gdzie zapuszczenie się po zmroku oznaczało pewne kłopoty. Oprócz szemranych typów i poszukiwaczy miłosnych uciech, w ciągu dnia wielu londyńczyków wpadało do Soho na dobre i tanie uliczne jedzenie. Okolicę tę opanowali głównie chińscy sprzedawcy i kucharze, a część dzielnicy zyskała nawet miano „China Town”. Czasami z Holmesem odwiedzaliśmy to miejsce przy okazji rozwiązywania kryminalnych historii i zawsze chętnie raczyliśmy się świeżym „fish and chips” lub pikantną chińszczyzną. Rosta we



mnie ciekawość, ale też obawa. A jeśli adresat jest groźnym przestępcą? A list dowodem lub – co gorsza – zachętą do zbrodni? Przez chwilę żałowałem, że nie ma ze mną mojego przyjaciela. Wyrowadzony z błędu Sherlock byłby najlepszym kompanem do ostatecznego rozwiązania zagadki listu z Paryża. Było już jednak za późno, a z głośnym „prrrr” dorożkarz zatrzymał się właśnie przed starą, brudną kamienicą o namalowanym niechlujnie czerwonej farmą numerze 221b. Wokoło licznych straganów z warzywami, owocami, świeżym mięsem, rybami i parującymi kotłami wydzielającymi smaczkowite zapachy, przetaczały się tłumy londyńczyków w różnym wieku oraz nawołujących łamaną angielszczyzną chińskich sprzedawców.

– Poczekaj tu na mnie – rzuciłem krótko do Christiana, sprawdziłem ukradkiem, czy z mojej laski wysuwa się sztylet i wyskoczyłem na ulicę.

W ciemnej bramie tłoczyli się młodzi Chińczycy, którzy z oficyny donosili na ulicę garnki, talerze i blaszane miski z mięsem oraz kosze z pieczywem. Zaczepiłem jednego z nich.

– Czy tu mieszkasz? Pod adresem 221b? – zapytałem.

– Ja nie rozumiem proszę pan. Ja zawołać pana Huang – młody chińczyk wyglądał na mocno przestraszonego. I szybko odwrócił się na pięcie i znikł za solidnymi, podwójnymi dębowymi drzwiami. Po chwili jedno skrzydło lekko się uchyliło i zobaczyłem w nich tego samego młodego człowieka. Choć równie dobrze mógł być to ktoś inny. Ach ci Chińczycy, każdy podobny do każdego!

– Pan wejdzie, pan Huang czekać – krótko rzucił i ponownie równie szybko znikł w ciemności.

Z rosnącym niepokojem uchyliłem drzwi i wszedłem do ciemnego pomieszczenia – kuchni, jak się okazało. Wśród parujących kotłów, ganków, buchającego gorącym piekarniczego pieca kłębili się kucharze i ich pomocnicy. Krzyczeli ciągle na siebie i zupełnie nie zwracali na mnie uwagi. Młody chińczyk, który ponownie pojawił się zupełnie znikąd, chwycił mnie za rękaw i zaczął ciągnąć w kierunku kolejnego pomieszczenia.

– Pan idzie, szybko, szybko. Pan Huang nie lubi czekać. Pan musicie szybko zarzywać, bo krew potem niedobra – wydukał nerwowo, a ja poczułem, jak włosy na rękach natychmiast się podniosły. Jako lekarz wiedziałem, że to nie tylko wynik lęku, ale i gotowości do walki.

Napięcie we mnie rosło. Ścisnąłem mocno główkę laski i byłem przygotowany, aby szybko zamienić ją na broń. Chyba przypadkiem wdałem się w niezłą kabałę! Oczywiście liczyłem na Christiana, który czeka na zewnątrz, ale zanim nabierze podejrzeń i wezwie pomoc, ja już pewnie będę zarżnięty przez pana Huang. Tanio skóry nie zamierzałem sprzedawać, ale jednak niczym skazaniec, kroczyłem ciągnięty za rękaw między ciasnym przejściem między kuchennymi blatami. W końcu przedarliśmy się przez spocony tłum kuchcików i kucharzy, a mój przewodnik otworzył kolejne drzwi. W ciemności

zobaczyłem zarys stojącej tyłem potężnej postaci, która uniosła wielki topór i z rozmachem uderzyła w niewidoczną dla mnie ofiarę. Zobaczyłem tylko strumień krwi, która wytrysnęła bokiem. Oprawca pochylił się i miałem wrażenie, że dobija albo dusi nieszczęśnika. Moja dłoń powoli zaczęła wyciągać sztylet, byłem jednak w potrzasku. Wszyscy zamarliśmy w bezruchu, a po chwili ogromny mężczyzna powoli zaczął obracać się w moją stronę. Nadszedł więc czas ostatecznej walki, choć przecież nie tak wyobrażałem sobie moją śmierć. Jeszcze godzinę wcześniej roztrząsałem z Holmesem hipotetyczne problemy przyszłych pokoleń, a teraz stałem oko w oko z przerażającym osobnikiem, który trzymał w ręku ogromny, zakrwawiony topór. Zresztą krew była na także na skórzanym fartuchu i – co gorsze – na twarzy. Co jednak dziwnego, fizys grubego chińczyka była jednak bardzo łagodna, wręcz dobrodusza. Olbrzym solidnym zamachem wbił siekierę w pień i dopiero teraz zobaczyłem, że straszną śmiercią przed chwilą zginął... wielki tłusty kaczor.

– Ja bardzo przepraszam szanownego pana, że w takich okolicznościach przyjmuję, ale moi kucharze nie potrafią odpowiednio ubić drobiu. Czym mogę służyć? – nienaganną angielszczyzną przywitał mnie właściciel, jak zrozumiałem, ulicznej garkuchni. I niech mnie kule biją, jeśli to nie był jeden z lepszych oksfordzkich akcentów, które miałem okazję słyszeć! Akcent, który tak wyróżnia londyńskich arystokratów i uczonych.

– Czy mam przyjemność rozmawiać z mieszkańcem tej kamienicy – zapytałem po dłuższej chwili, gdy już opadł ze mnie strach.

– Wynajmuję ten lokal od wielu lat, a w jakim celu pan pyta i, czy mogę poznać godność? – w głosie usłyszałem wyraźne zaciekawienie, ale bez złości, czy choćby irytacji. W tej sytuacji uzasadnionej przecież.

Wszystko wskazywało, że trafiłem do pocziwego chińskiego restauratora. Choć ten akcent był bardzo zastanawiający. Ale u licha! Za dużo tych tajemnic, w pierwszym rzędzie należało wyjaśnić sprawę listu z Paryża. Wyciągnąłem więc z kieszeni kopertę i podałem ją bez słowa panu Huangowi. Ten zmarszczył czoło, błyskawicznym ruchem otworzył list, szybko przebieg wzrokiem i wyraźnie zauważyłem, że... czyta! Świadczyły o tym mimowolne ruchy warg, a po chwili, gdy podniósł ponownie na mnie oczy, zobaczyłem, że się uśmiecha. We wzroku zobaczyłem też pytanie.

W krótkiej opowieści wyjaśniłem okoliczności, w których list znalazł się u mojego przyjaciela. Przekonywałem, że byliśmy pewni, że to on jest właściwym adresatem. Opowiedziałem o nieskutecznych próbach przetłumaczenia tajemniczego tekstu. Co najważniejsze, gorąco przeprosiłem też za otwarcie cudzej korespondencji. W końcu wyrzuciłem z siebie gnębiące mnie i mojego przyjaciela od wielu tygodni pytanie.





– Proszę mi zdradzić, co to za dziwny język i kto jest nadawcą listu?

– Ach to żadna tajemnica. List wysłał mi mój kochany brat, który mieszka i pracuje w Paryżu. A list jest napisany w języku... chińskim. No w sumie to po angielsku, ale jednak po chińsku. Och trudno to wyjaśnić.

Okazało się, że jednak wcale nie trudno. Wręcz rozwiązanie zagadki okazało się banalnie proste, choć też smutne. Poznałem historię biednej chińskiej emigrantki, która miała dwóch synów. Odejmując sobie sama od ust, próbowała zapewnić dzieciom jak najbardziej normalne życie. Niestety kobieta zmarła na suchoty, a kilkuletni, nieznający ani słowa po angielsku chłopcy trafili do przytułku. Szczęście jednak uśmiechnęło się do nich i obaj trafili pod opiekę znanej arystokratki i filantropki księżnej Anny Woodpecker. Obaj chłopcy zdobyli świetne – jak na ich pozycję społeczną – wykształcenie. To by wyjaśniało znakomity akcent kucharza. Starszy, Yà dang, wyjechał do Paryża, gdzie zaopiekowała się nim kuzynka księżnej, lady Agnes Échelle. Tam młody chińczyk został najpierw pomocnikiem, a potem kelnerem, a na końcu szefem kuchni w znakomitej paryskiej restauracji. Młodszy o imieniu Luō Bó Té po osiągnięciu pełnoletności zdecydował, aby w Londynie założyć uliczną kuchnię na Soho. Wyglądało zresztą, że świetnie mu idzie. A co do tajemniczego języka – okazuje się, że bracia od lat prowadzą intensywną korespondencję, wymieniając się przepisami. Mimo że świetnie znają angielski, postanowili w listach używać fonetycznie zapisanego chińskiego. Ot taki braterski tajemny kod i ćwiczenie ojczyznojęzyka. Co ważne – jak wyjaśnił mi Luō, taka sztuczka pozwalała na utrzymanie w tajemnicy autorskich przepisów. List, który wyniku nadzwyczajnego zbiegu okoliczności trafił do Sherlocka Holmesa, zawierał pełną instrukcję przygotowania kolejnego znakomitego dania. To też stąd piktogramy ptaka, słoneczka – które oznaczało opalenie nad ogniem – a rzekomy księżyc z czapeczką, to zwyczajna ostra papryczka.

– A może spróbuje łaskawy pan tej potrawy? Zaraz przygotuję danie na podstawie przepisu brata, sam jestem ciekawy – usłyszałem smakowitą propozycję.

– Chętnie, ale wiesz co? Mam lepszą propozycję. Jutro o porze lunchu przygotujesz dwie porcje – odpowiedziałem, a w głowie uknuł mi się szalony plan zemsty na Sherlocku za jego złośliwości.

Uzgodniłem z kucharzem jeszcze kilka szczegółów i wróciłem do domu. Nazajutrz w południe odwiedziłem Holmesa. Nie był w najlepszym humorze, wyglądało, że spędził poprzedni wieczór jedynie w towarzystwie butelki wina. Mimo protestów zmusiłem go ubrania pałta i wyjścia z domu. Dorożka już czekała, niezawodny Christian zaciął bat i ruszyliśmy w znanym już mi kierunku.



– Powiesz mi, dokąd jedziemy? – Sherlock wydawał się nawet lekko podirytowany. Chyba miał kaca.
– Och to żadna tajemnica, jako twój lekarz postanowiłem zmienić twoją dietę. Mam dziś ochotę na dobrą kaczkę. Tobie też odrobina tłustego nie zaszkodzi. I wiem, gdzie dają najlepszą potrawę z tego ptaka, a co ważniejsze przepis jest absolutnie unikalny. Choć myślę, że w Paryżu już go znają – odpowiedziałem, siląc się na powagę.

Ostatnie zdanie wywołało szczególnie silną reakcję na twarzy mojego przyjaciela. A ja bawiłem się coraz lepiej. W końcu dojechaliśmy na Beak Street, odetchnąłem z ulgą. Poprzedniego dnia poprosiłem mojego nowego znajomego, aby zamalował numer kamienicy i dotrzymał słowa. Gdy dorożka się zatrzymała, mogłem doprowadzić swoją grę do końca.

Usiedliśmy, a właściwie to stanęliśmy przy wielkich beczkach służących za stoły. Po chwili pojawił się potężny Chińczyk, dziś ubrany w stylowy frak zupełnie niepasujący do okolicy. W ręku miał już gotowe dwa parujące talerze ze smaczkowicie wyglądającym daniem. Pieczone kacze udka, do tego biały ryż i lekko tylko podsmażane warzywa. Absolutne proste arcydzieło ulicznej sztuki kulinarnej.

– Czy dowiem się w końcu, o co chodzi drogi Watsonie?

– Ach, po prostu chciałem, abyś zjadł coś zdrowego i pożywnego i... wyjątkowego – odpowiedziałem między kęsami.

– Czy smakuje łaskawym panom, czy mogę jeszcze w czymś służyć? – włączył się do rozmowy Luō.

– Wszystko jest znakomite, tylko nurtuje mnie to wspaniałe danie. Czy mógłbyś nam zdradzić składniki i pełny przepis?

– Ach, niestety nazwy składników znam tylko po chińsku – z rozbijającym uśmiechem odpowiedział kucharz.

– To absolutnie nie szkodzi, chętnie poznam przepis nawet po chińsku. Na pewno się dogadamy.

– A to bardzo proszę, kaczką pięciu smaków, to po chińsku będzie „wowiee ya tzee”.

No cóż, wyraz twarzy mojego przyjaciela był najlepszą nagrodą, jaka mogła mnie spotkać. Do końca posiłku nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.


Epilog

Oczywiście wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Z długiej podróży wróciła pianistka lady Agnes C.H., co ciekawe – i co jest kolejnym zbiegiem okoliczności – w Paryżu zawarła znajomość francuską imienniczką, wspomnianą już kuzynką księżnej Anny, lady Agnes Échelle. Christian stracił ostatniego zęba



w bóje i postanowił wyjechać do Portugalii, a Holmes po porażce oddał się hodowli pszczół na wsi. A ja, no cóż. Postanowiłem spisać tę historię. A skoro moja intuicja okazała się w tym wypadku przewyższać rozum Sherlocka, to może i w sprawie przyszłości języków i ja także mam racje. Można sobie wyobrazić za jakieś 140 lat, czyli 2022 roku, gdzieś w Europie ludzie będą tłumaczyć listy, nie wychodząc z domu. W jednej chwili maszyna licząca prześle każde pismo do uczonych, a oni szybko znajdą tłumaczenie każdego języka używanego na świecie. Ciekawy jestem, czy to tylko bajka. W razie czego zaznaczam mojemu wydawcy przyszłości, że pierwszy sposób na „dogadamy cię” wynalazł Watson. Dr Watson.





Od marzenia,
przez porażki do
sukcesów. To nie jest ckliwa
historia z bajkowym happy endem
ani coachingowy poradnik, jak w krótkim
czasie zarobić na genialnym pomysle. Zanim
wyłożysz oszczędności życia na swój własny
biznes, poznaj naszą historię z dogadamycie.pl.
Na poważnie rozmawiamy o rynku tłumaczeń,
ale też z humorem dzielimy się swoimi pasjami
i wspólnymi przygodami.

ISBN 978-83-965046-6-1



9 788396 504661